



# wiadomości kościańskie

ISSN 1231-9589

pismo regionalne • cena 7 zł • nr 5-9 (261-265) • maj-wrzesień 2014



General brygady WP Zygmunt Łakiński urodził się 27 I 1892r w Kościanie, zmarł 24 III 1961r w Londynie. Powstaniec Wielkopolski. Był m.in. komendantem Centrum Szkolenia Samodzielnej Brygady Strzelców Karpaccich, dowódcą artylerii 3 Dywizji Strzelców Karpaccich i dowódcą 7 Dywizji Piechoty. Odznaczony: Krzyżem Srebrnym Orderu Wojennego Virtuti Militari, Krzyżem Złotym Orderu Wojennego VM (za Monte Cassino) i dwukrotnie Krzyżem Walecznych.

Fot. W zbiorach Narodowego Archiwum Cyfrowego w Warszawie

**W numerze:**

■ **Z prof.**  
**Waldemarem Łazugą**  
**rozmawia**

Teresa Masłowska

( )

■ **Zdzisław Wojtczak**  
**poluje z Buszmenami**

( )

■ **Wiersze**  
**Eugeniusza Wachowiaka**

( )

■ **Jan Pawicki**  
**pisze o ks. Bączkowskim**

( )

■ **Kościaniacy**  
**w Polskich Siłach**  
**Zbrojnych na Zachodzie**

( )

■ **Jerzy Zielonka**  
**ujawnia...**

( )

„**Wiadomości Kościańskie**”. Pismo regionalne, ukazuje się od czerwca 1988 roku. Laureat głównej nagrody IV Konkursu Institute for Democracy in Eastern Europe. Wydawca: Przedsiębiorstwo „AGA” w Kościanie. Redaguje zespół: Teresa Masłowska (redaktor prowadzący), Jerzy Wizerkaniuk (red. naczelny), Jolanta Napierała (z-ca red. naczelnego), Grzegorz Pawlak (grafik).

**Adres redakcji:** 64-000 Kościan, ul. Dworcowa 2, tel./fax (0-65) 512-16-15. Druk: Drukarnia Zbigniew Sołtysiak, ul. Surzyńskiego, Kościan. Redakcja zastrzega sobie prawo do skracania nadsyłanej korespondencji, nie zwraca materiałów nie zamówionych i nie odpowiada za treść ogłoszeń.

Generał brygady Zygmunt Łakiński urodził się 27 stycznia 1892 r. w Kościanie, w rodzinie Jana i Teresy z Księżopolskich. Po ukończeniu szkoły powszechnej uczył się w gimnazjum w Poznaniu, gdzie w 1913 r. uzyskał świadectwo dojrzałości. 6 sierpnia 1914 r. wcielony do armii pruskiej. W 1915 awansował na podporucznika. Do lutego 1918 r. służył w artylerii niemieckiej na froncie zachodnim.

Powstaniec wielkopolski. Od listopada 1918 r. do 8 stycznia 1919 r. był adiutantem batalionu Służby Straży i Bezpieczeństwa w Poznaniu. 27 grudnia 1918 r. kierował akcją oddziałów tej służby z punktu dowodzenia w Zamku. Od 9 stycznia 1919 r. tworzył Dowództwo Artylerii i referował w Dowództwie Głównym sprawy artylerii.

Do Sił Zbrojnych Polskich w byłym zaborze pruskim formalnie przyjęto go dekretem Komisariatu Naczelnej Rady Ludowej z 20 marca 1919 r. i mianowano porucznikiem ze starszeństwem z 1 października 1915 r. 15 kwietnia 1919 r. objął dowództwo 3 baterii I dywizjonu artylerii konnej, który został przemianowany na 7 dywizjon artylerii konnej wielkopolskiej. 3 czerwca 1919 r. Komisariat NRL awansował go na kapitana ze starszeństwem z 1 czerwca 1919 r. W sierpniu 1919 r. został przeniesiony do 2 pułku artylerii polowej Legionów na stanowisko dowódcy baterii. W listopadzie został dowódcą I dywizjonu. Z 2 pułkiem artylerii polowej Legionów przeszedł cały szlak bojowy wojny polsko – bolszewickiej.

Od października 1921 r. do 23 czerwca 1922 r. był członkiem Komisji Weryfikacyjnej dla byłych oficerów armii niemieckiej. 3 maja 1922 r. został zweryfikowany w stopniu majora ze starszeństwem z 1 czerwca 1919 r. i 144. lokatą w korpusie oficerów artylerii. Od 24 kwietnia 1922 r. do 15 lutego 1924 r. był szefem Oddziału V Sztabu Dowództwa Okręgu Korpusu Nr VII w Poznaniu, pozostając oficerem nadetatowym 14 pułku artylerii polowej. W marcu 1924 r. objął dowództwo 7 dywizjonu artylerii konnej Wielkopolskiej w Poznaniu. 23 stycznia 1928 r. awansował na podpułkownika ze starszeństwem z 1 stycznia 1928 r. i 14. lokatą w korpusie oficerów artylerii. 10 grudnia 1931 r. awansował na



Na okładce:

## Nasz generał

pułkownika ze starszeństwem z 1 stycznia 1932 r. i 7. lokatą w korpusie oficerów artylerii. W kwietniu 1934 r. mianowany dowódcą 10 Kaniowskiego pułku artylerii lekkiej w Łodzi. Od 1 października 1938 r. dowodził artylerią dywizyjną 30 Poleskiej Dywizji Piechoty. W wojnie obronnej 1939 roku walczył do 28 września 1939 r.

Po kapitulacji przedostał się do Francji, gdzie od kwietnia 1940 r. dowodził artylerią dywizyjną 3 Dywizji Piechoty. Po ewakuacji do Wielkiej Brytanii, od lipca 1940 r. do listopada 1941 r. był zastępcą dowódcy 1 Brygady Strzelców w Szkocji. W styczniu 1942 r. wyjechał na Bliski Wschód, gdzie został komendantem Centrum Szkolenia Samodzielnej Brygady Strzelców Karpackich, a następnie dowódcą artylerii 3 Dywizji Strzelców Karpackich i dowódcą 7 Dywizji Piechoty (do kwietnia 1947 r.). 3 maja 1945 r. mianowany generałem brygady. Po demobilizacji osiedlił się w Londynie, gdzie zmarł 24 marca 1961 r. Pochowany na cmentarzu Gunnersbury. Staraniem londyńskiego środowiska polonijnego, Jego nagrobek został w bieżącym roku odnowiony.

Generał Łakiński został odznaczony m.in.: Złotym i Srebrnym Krzyżem Orderu Wojennego Virtuti Militari, Krzyżem Niepodległości, Krzyżem Oficerskim Orderu Odrodzenia Polski, Krzyżem Kawalerskim Orderu Odrodzenia Polski, Krzyżem Walcznych.

Źródło: Wikipedia

5 czerwca 2014 roku zmarła w Kościanie, w wieku 87 lat

### dr Krystyna Winowicz

Muzykolog i nauczyciel akademicki. Długoletnia współpracowniczka naszego pisma. Odeszła od nas Osoba niezwykłych zalet, bez reszty oddana kulturze Ziemi Kościańskiej. Wieczny odpoczynek racz Jej dać Panie.

Zespół redakcyjny  
„Wiadomości Kościańskich”



## W służbie chorym

*Zofia Skrzypek, zawsze uśmiechnięta.*

Zofia Skrzypek, laureatka nagrody „Wiadomości Kościańskich” za serce w 2008 r. Przez ponad pół wieku związana z Polskim Czerwonym Krzyżem. Wraz z innymi rozwijała jego struktury na ziemi kościańskiej i leszczyńskiej. Odwiedzam ją w domu. Już od progu wita mnie szeroki uśmiech i szczególny błysk w oku, który zdradza, że czeka mnie sympatyczna rozmowa. Tak radośni i pełni wewnętrznego optymizmu potrafią być tylko ci, którzy poświęcili swój czas, siły a przede wszystkim serce drugiemu człowiekowi. Mam nieodparte uczucie, że Zofia Skrzypek jest spełnionym człowiekiem. Rozmawiamy o pracy, życiu i ludziach, których spotkała na swojej drodze.

Już jako dziecko chętnie pomagała bliźnim. W szkole podstawowej należała do koła PCK. Opiekunką była Hanna Korbik. Lubiła pracę zespołową, kontakt z drugim człowiekiem; poza tym interesowały ją nauki medyczne. Po ukończeniu podstawówki chciała zdawać do szkoły położniczej. Ale najpierw dostała pracę w kancelarii kościańskiego liceum. O położnictwie i służbach medycznych na jakiś czas zapomniała. Los oddalił jej młodzieńcze marzenia. Do czasu. Lekarzem szkolnym w Liceum był dr Gerhard Hüttner. Dostrzegł w energicznej Zosi pielęgniarskie powołanie. Taki talent organizacyjny i serce do ludzi, nie może marnować się za biurkiem. Zaproponował jej pracę w pogotowiu. Wówczas

jeszcze mieściło się na ul. Młyńskiej. Pracowała tam półtora roku.

### „Nasz doktor”

W 1953 roku podjęła pracę w Zarządzie Powiatowym Polskiego Czerwonego Krzyża w Kościanie - początkowo jako instruktor, później jako sekretarz.

- Nie mogłam lepiej trafić. W skład zarządu w różnym czasie wchodziła Alina Olejniczakowa, Czesława Spychałowa, doktorzy Janusz Stankiewicz i Leszek Depczyński, Anna Gruszczyńska, Zofia Michalska, Władysław Zgrabka. To wyjątkowi ludzie - opowiada ze łzą w oku. - Byłam w tym gronie najmłodsza. Miałam od kogo się uczyć. Do dzisiaj mówię, że wyrosłam spod skrzydeł naszego prezesa doktora Henryka Florkowskiego. W zespole panowała niesamowita atmosfera. To była jego zasługa. Wymagający, ale przy tym cierpliwy i sprawiedliwy. Rozumieliśmy się świetnie.

- Doktor Florkowski był wspaniałym człowiekiem - dodaje po chwili. Ciężko mi o nim mówić. Ciężko wspominać tych wszystkich ludzi, wielu już nie ma na tym świecie - Zosia Skrzypek uśmiecha się do wspomnień - a żeby nie było tak różowo, muszę powiedzieć, że nasz doktor miał też wady. Pamiętam ile się naprzeklinałam w duchu, aby odczytać jego notatki, tak straszny miał charakter pisma.

### Wierna idei PCK

Pracy było wiele, przede wszystkim w tak zwanym terenie. Zarząd zakładał i wspierał działalność kół PCK, które istniały przy zakładach pracy w Kościanie. Na wsiach powstawały koła przy Rolniczych Spółdzielniach Produkcyjnych czy Państwowych Gospodarstwach Rolnych. Edukacja społecznych służb medycznych zakrojona była na szeroką skalę. Organizowano konkursy czystości i szkolenia pierwszej pomocy. Drużyny poszczególnych zakładów rywalizowały ze sobą w zawodach na szczeblu powiatowym i wojewódzkim. Wolontariusze i pracownicy PCK jeździli po drogach i bezdrożach kraju i edukowali społeczeństwo. Siedziba kościańskiego PCK do 1974 r. mieściła się w Ratuszu. Później została przeniesiona do budynku na Wałach Żegockiego.

- W Kościanie każdy większy zakład musiał mieć drużynę sanitarną.

Działy one m.in. przy Cukrowni, Zakładach Mięsnych, Wytwórni Wyróbów Tytoniowych, Metalchemie. Dyrektor stadniny w Racocie też chciał mieć drużynę. Przysłał po nas bryczkę pod sam Ratusz. Kiedy nie było aż tylu samochodów, podróże czasami bywały uciążliwe, ale dziś myślę o nich z sentymentem.

Swoją pomocą i działalnością edukacyjną PCK obejmował też najmłodszych mieszkańców miasta i okolic. Jak grzyby po deszczu powstawały szkolne koła PCK. W szkołach podstawowych z udziałem starszych dzieci działały posterunki sanitarne.

- Nasi przeszkoleni wolontariusze wyposażeni byli w torbę sanitarną. W przerwie spacerowali po szkole i w razie wypadku udzielali pierwszej pomocy. Dla młodszych dzieci organizowaliśmy „Kluby Wiewiórka”.

Chodziło o to, aby wzbudzić wśród dzieci zainteresowanie stanem zdrowia zębów i nauczyć właściwych nawyków żywieniowych i zdrowotnych. To były jeszcze czasy, kiedy o szczoteczkę i pastę do zębów nie było tak łatwo jak dzisiaj.

Na początku lat sześćdziesiątych dzięki zaangażowaniu działaczy i pracowników PCK na ziemi kościańskiej zaczęto tworzyć punkty opieki nad chorym w domu.

- Pierwszym kierownikiem takiego punktu w Kościanie była Czesława Spychałowa. Przełożona pielęgniarek z kościańskiego szpitala. To była początkowo praca społeczna, ale było jej tak dużo, że czyn społeczny okazał się niewystarczający. Aby to wszystko ogarnąć musieliśmy zatrudnić na etat pracownika. Kursy dla siostr odbywały się na terenie tutejszego szpitala. Panie nazywały się „pogotowianki” a zajmowała się nimi Marylka Dziudzia. Później pracowały też u nas Ewa Wiktorska, Ela Jurga.

#### **W województwie**

Talent organizacyjny i otwarte serce Zofii Skrzypek nie mogły zostać niezauważone. W 1975 r. powierzono jej organizację struktur PCK na terenie województwa leszczyńskiego.

- To było ogromne wyzwanie. Zgodziłam się między innymi za namową doktora Florkowskiego. Pierwsze biuro dostaliśmy na ulicy Mickiewicza w Lesznie. Wszystko



Zarząd Powiatowy PCK w Kościanie w 1975 r. Trzecia z prawej Zofia Skrzypek, czwarta - Alina Olejniczak, wiceprezesa. Stoi pośrodku prezes dr Henryk Florkowski.

Fot. (2x) Ze zbiorów prywatnych Zofii Skrzypek

organizowaliśmy od podstaw. Musieliśmy wyremontować pomieszczenia, postarać się o jakieś meble. Malarzy pomógł zorganizować wicedyrektor kościańskiego Sanatorium Stanisław Ławniczak. Rano jeździłam z nimi żukiem do Leszna i pilnowałam, aby wszystko było w jak najlepszym porządku.

Prezesem PCK w województwie został dr Tadeusz Bachorz z Leszna, wiceprezesem dr med. Henryk Florkowski. W Zarządzie Wojewódzkim powstały wydziały: Organizacyjny, Krwiodawstwa, Opieki Społecznej, Oświaty, Dział Ekonomiczny.

- Jak przeniosłam się do Leszna robiłam wszystko, aby w całym województwie funkcjonowały punkty opieki nad chorym. Punkty istniały m.in. w Śmiglu, Racocie, Krzywiniu czy Przemęcie. To był ogrom pracy, ale udało się. W pewnym momencie miałam tyle pogotowianek i chorych jak w dużym szpitalu. Poza tym organizowaliśmy obozy, na których szkoliliśmy grupy Społecznych Instruktorów Młodzieżowych.

- Bywały trudne sytuacje, ale trzeba było sobie z nimi radzić. Z działaczami społecznymi nie jest łatwo. Nadają ton,

ale trzeba umieć z nimi rozmawiać i cierpliwie tłumaczyć. Jak organizowałam spotkania w Domu Kolarza w Lesznie, wszystkich sióstr było ponad sześćset. Jedna chciała fartuch, inna buty jeszcze inna długopis. Trzeba było to wszystko pogodzić...

\*

Zofia Skrzypek przeszła na emeryturę w 1981 r. Nie skończyła jednak działać dla dobra innych. Została wolontariuszką PCK. Odwiedzała szkoły, przedszkola. Pod egidą PCK organizowała świąteczne paczki dla dzieci z ubogich rodzin, koncerty charytatywne. Otoczyła opieką ludzi starszych. To między innymi z jej inicjatywy powstała w Kościanie grupa rehabilitacyjna zrzeszająca seniorów. Chodziło o to, aby ludzie starsi wciąż czuli się potrzebni. By nie byli samotni, nie zamykali się w domu. Praktycznie całe swoje życie była zaangażowana w tworzenie i organizowanie struktur PCK. Jej praca była misją i pasją, które wypełniała całym swoim sercem. Wrażliwa na ludzką biedę, cierpienie i smutek. Przepiętna radością i optymizmem. Taką jest do dzisiaj.

**KATARZYNA ŻUREK**

# Nauczyciele o nauczycielach (2)

Pomysł jest wytworem przemyśleń naszego współpracownika i przyjaciela, dyrektora Zespołu Szkół nr 4 w Kościanie - Leszka Michalczaka. I tak powstaje, mamy nadzieję stała, rubryka „Nauczyciele o nauczycielach”, w której publikować będziemy wspomnienia o pedagogach, którzy od nas odeszli, a dla współczesnych nauczycieli stanowili wzór godny naśladowania. Zapraszamy do sięgnięcia po pióro nauczycieli nie tylko z powiatu kościańskiego. Rubrykę redaguje mgr Leszek Michalczak (kontakt tel. kom. 606 490 661)

Ksiądz Mieczysław Radajewski



Fot. Ze zbiorów Emilii Grajewskiej

## „Kilka wspomnień świętych”

Poeta ksiądz Jan Twardowski w wierszu poświęcił kilka wspomnień świętych swoim uczniom, ja wspomnienie dla mnie święte jestem winna księdzu Mieczysławowi Radojewskiemu, proboszczowi z Wyskoci w latach 1969-1992. Wspominam Go serdecznie. Nieżyjący już niestety ksiądz Radojewski był wspaniałym nauczycielem religii. Uczył nas w salce katechetycznej, w której w okresie zimowym odbywały się także msze święte, bo piękny kościół w Wyskoci był kościołem nieogrzewanym. Ksiądz Mieczysław miał niezwykły dar przekazywania wiedzy teologicznej w sposób przystępny, zrozumiały dla młodego człowieka. Wiadomości, które wyniosłam z

Jego lekcji, przydały mi się podczas studiów i przydają do dziś w pracy nauczyciela polonisty. Na lekcje religii jeździliśmy szkolnym autobusem z Turwi do Wyskoci, po lekcjach wracaliśmy kilka kilometrów na piechotę do domu. Dzisiaj dzieci mają lekcje religii w szkołach, co jest dla nich i rodziców dużym ułatwieniem. Każdego roku 1 stycznia w imieniny Mieczysława parafianie wraz z siostrą zakonną Sofronią organizowali dla lubianego proboszcza część artystyczną, w której uczestniczyły również dzieci. Siostra Sofronia pięknie grała na organach i śpiewała, dzieci recytowały wiersze. Życzliwych życzeń i pięknych kwiatów było zawsze mnóstwo.

Młody ksiądz Mieczysław potrafił zagrać z chłopcami w piłkę nożną, widzę Go biegnącego po boisku niedaleko domu katechetycznego. Organizował z okazji Pierwszej Komunii wyjazdy dzieci i rodziców (najczęściej były to mamy, bo ojcowie pracowali) na Świętą Górę do Gostynia. Parafianie jeździli z Nim również na wycieczki do Częstochowy, połączone ze zwiedzaniem m.in. niemieckiego obozu koncentracyjnego Auschwitz, gdzie składali kwiaty. W jednej z takich wycieczek brałam udział jako nastolatka, wówczas po raz pierwszy zwiedzałam obóz Auschwitz, było to dla mnie wstrząsające przeżycie, niezapomniana lekcja historii. W starej książeczce do nabożeństwa, pamiątce po Pierwszej Komunii, przechowuję życzenia księdza zapisane na jednym z obrazków, którymi obdarowywał dzieci podczas wizyt składanych parafianom z okazji kolędy. Pamiętam, że moja rodzina zawsze na tę wizytę z niecierpliwością czekała i bardzo te wizyty ceniła.

Ksiądz Mieczysław nie był wolny od ludzkich słabości. Pamiętam, że pewnego dnia szkolny autobus spóźnił się, a my tym samym spóźniliśmy się na lekcję

religii. Proboszcz rozgniewał się na nas i zamknął przed nami drzwi salki katechetycznej na klucz. Dotknęło Go nasze spóźnienie. Po pewnym czasie drzwi jednak otworzył (czekaliśmy pod nimi cierpliwie, nie skorzystaliśmy z okazji, by odejść) i lekcja odbyła się jak zawsze. Była to też dla mnie lekcja zasad i postawy życiowej. Od tego czasu nigdy i nigdzie się nie spóźniłam, pamiętając, że punktualność jest grzecznością królów, a jej przestrzeganie wyrazem szacunku wobec osoby, z którą jesteśmy umówieni.

Księdzu Mieczysławowi zawdzięczam niezwykłą Pierwszą Komunię. Miała ona miejsce w 1971 roku, w tymże roku moi dziadkowie ze strony mamy – Zofia i Michał Roszakowie obchodzili Złote Gody. Ksiądz Mieczysław zaproponował, by moją uroczystość z okazji Pierwszej Komunii połączyć z jubileuszem dziadków. I tak 30 maja klęczałam na białym klęczniku pomiędzy klęczącymi na czerwonych klęcznikach dziadkami w kościele parafialnym pod wezwaniem św. Andrzeja w Wyskoci, z którym od zawsze związane były losy moich bliskich, którzy w nim byli chrzczeni, przyjmowali Pierwszą Komunię, byli bierzmowani, składali małżeńskie przysięgi i z którego odchodzili na wieczną Bożą służbę, żegnani smutnym biciem dzwonu. Towarzyszyła nam ponad stuosobowa rodzina, dziadkowie wychowali bowiem siedmioro dzieci i doczekali się 23 wnucząt. Była to uroczystość wyjątkowa, wzruszająca i niezapomniana. Podkreślała tradycję, więź pokoleniową i rodzinną.

Ksiądz proboszcz wśród licznych zalet miał także dar wnikań w dusze ludzkie, rozumienia ludzi, potrafił przewidzieć konsekwencje niektórych wyborów, umiał właściwie doradzić. Jego życzliwego wsparcia brakuje mi w moim dorosłym życiu, w trudnych dla mnie chwilach po ludzku tęsknię za

rozmową z Nim.

Zmarł w roku 1993, przeżywszy 66 lat, pochowany został na cmentarzu w Krotoszynie. W 2013 r., w dwudziestą rocznicę śmierci, odsłonięto pamiątkową tablicę umieszczoną na murach kościoła w Wysokoci. W ten sposób wdzięczni parafianie uczcili pamięć kapłana, który służył im przez 23 lata i zapisał się w sercach wielu z nich, w tym także moim.

**Emilia Grajewska**  
**Kościan**

*Mgr Zygmunt Szuba*



*Fot. Ze zbiorów  
Magdaleny Wróblewskiej*

#### **Pan od geografii**

Zygmunt Szuba urodził się w Swarzędzu w 1931 roku. W latach 1956 – 1964 był nauczycielem w Szkole Podstawowej nr 1 w Kościanie, od 1964 r. pracował w Szkole Podstawowej nr 4 w Kościanie. W latach 1972 – 1975 pełnił funkcję wizytatora – metodyka geografii, od roku 1975 metodyka do spraw krajoznawstwa i turystyki. W szkole prowadził koło geograficzne oraz Szkolny Klub Krajoznawczo-Turystyczny. Zajmował się organizowaniem szkolnych schronisk młodzieżowych. Był nauczycielem niezwykle pracowitym i aktywnym społecznie. Animatorem szkolnego ruchu turystycznego. W roku 1974 otrzymał odznakę „Za Zasługi w Rozwoju Województwa Poznańskiego”, w roku 1975 odznakę „Zasłużony dla Powiatu Kościańskiego”. W 1980 roku otrzymał Medal Komisji Edukacji Narodowej, w 1983 roku odznakę „Za Zasługi dla Województwa Leszczyńskiego”. W roku 1987 uhonorowano go Krzyżem Kawalerskim Orderu Odrodzenia Polski.

Był moim wychowawcą i nauczycielem geografii. Uczył mnie tylko przez rok, ale w moich wspomnieniach zapisał się na zawsze. Widzę go, jak idzie pomału przez korytarz szkolny, dźwigając w jednej ręce ciężką, wypchaną torbę, a w drugiej dziennik. Często pod pachą trzymał mapę i atlasy. Idąc przez długi korytarz, zagadywał uczniów, przystawał na krótką rozmowę. Zawsze uśmiechnięty i pogodny. Pamiętam go jako dobrodusznego, odznaczającego się łagodnością nauczyciela. Lekcje z panem Szubą były przyjemne i ciekawe. Nauczyciel siadał za biurkiem, sprawdzał obecność, dyktował temat i... zazwyczaj pojawiały się dziesiątki pytań dotyczących poprzedniej lekcji i bieżącego tematu, a on cierpliwie i wyczerpująco odpowiadał. Posiadał rozległą wiedzę z geografii. Obok zasadniczego wykładu wtrącał wiele ciekawostek, co uczniowie szczególnie sobie cenią. Opowiadał o miejscach znanych, ale też o tych, które nie były ujęte w podręczniku geografii.

Zygmunt Szuba przeszedł na emeryturę w 1997 r. W tym trudnym zawodzie pracował ponad 40 lat. Zmarł w 2007 r., spoczywa na cmentarzu parafialnym w Kościanie.

Z wielkim sentymentem wspominam swego wychowawcę i nauczyciela.

**Magdalena Wróblewska**  
**Kościan**

*Mgr Władysław Michalak*



*Fot. Ze zbiorów Katarzyny Taciak*

#### **Tajniki „sekretniej” wiedzy**

W mojej pamięci z lat szkolnych zapisał się pierwszy nauczyciel fizyki – Władysław Michalak. Pan

Michalak urodził się 31 lipca 1936 roku w Poninie w rodzinie chłopskiej. W 1940 r. rodzina Michalaków została wywieziona na przymusowe roboty do Niemiec, skąd powróciła do kraju w 1946 r. W Szkole Podstawowej w Kościanie pracował od 1966 roku, wcześniej był wychowawcą w Państwowym Domu Dziecka w Górze koło Jarocina oraz nauczycielem w szkole podstawowej w Wierzchach i Wonieściu. W kościańskiej „czwórce” uczył fizyki i przysposobienia obronnego, prowadził też koło modelarskie oraz fotograficzne. Zawsze interesował się techniką. W 1984 roku zajął II miejsce w Polsce w konkursie na najnowocześniejszą pracownię fizyczną.

Fizyki uczyliśmy się od VII klasy szkoły podstawowej – był to nowy, trudny przedmiot i nowy pedagog. Z obawą, ale i z ciekawością zaczęliśmy zgłębiać tajniki „sekretniej” wiedzy. Nowy nauczyciel okazał się być energicznym, miłym, a nade wszystko lubiącym porządek człowiekiem. Sala fizyczna, z uwagi na mnóstwo tajemniczych przyrządów, wzbudzała naszą ciekawość. Zwłaszcza katedra i jej pulpit, na którym było mnóstwo przycisków. Jak na owe czasy (rok 1982) – szczyt nowoczesności, a sterował nim niepodzielnie nasz Pan od fizyki. Pan Michalak bardzo dbał o swoją nowoczesną pracownię i uczył tego również swoich uczniów. Zapamiętałam szczególnie to, że z uwagi na czułość wielu urządzeń, dyżurni zawsze musieli mazać tablicę moką ściereczką.

Lekcje prowadzone były zawsze w sposób bardzo uporządkowany – przejrzysta notatka i odpytywanie według tylko znanego nauczycielowi klucza oraz żelazna dyscyplina.

Pan Michalak wprowadził nas w świat zjawisk fizycznych oraz nauczył poszanowania „dobra publicznego”, co w tamtych czasach niekoniecznie było takie oczywiste. Nauczyciel przeszedł na emeryturę w 1985 r. Zmarł w roku 2008, spoczywa na cmentarzu parafialnym w Kościanie.

**Katarzyna Taciak**  
**Kościan**



## O kalkulacji i kolaboracji

Prof. dr hab. Waldemar Łazuga: „Gitara była moją pierwszą miłością”.

Fot. Teresa Maślowska

**Za dwadzieścia lat z Barcelony będziemy pamiętać tylko Messiego, a my w XIX wieku mieliśmy czterdziestu Polaków w rządzie austriackim – mówi prof. dr hab. Waldemar Łazuga, kierownik Zakładu Kultury i Myśli Politycznej UAM w Poznaniu.**

1.

**W ostatniej książce „Kalkulować... Polacy na szczytach c.k. monarchii” przekonuje pan, że potrafimy nie tylko przegrywać, ale także skutecznie wygrywać.**

- Na spotkaniach z czytelnikami wielu mówiło mi, że nie podejrzewali, że mamy taką historię Polski, że w Ministerstwie Skarbu przy Himmelfortgasse, gdzie do dzisiaj działa to ministerstwo, przez 20 lat mówiło się

tylko po polsku, bo ministrami finansów byli Polacy, którzy zmonopolizowali najważniejszy resort austriackiego rządu. W Wiedniu, dla wielu ówczesnej stolicy świata, gdzie żył i komponował Strauss, premierem austriackiego rządu był Polak Kazimierz hrabia Badeni. To nieoczekiwane, bo nasza historia jest pełna zsyłek, kibitek, walki i cierpienia. Zawsze może się zdarzyć, że dwóch czy trzech zrobi karierę, ale nie czterdziestu! Jeśli tylu opanowało kilka ministerstw, znaczy że prowadzili odpowiednią grę, politykę, która nie ma precedensu w naszej historii, a na pewno XIX i XX w., że postawili na rozum. Weszli do gry, tylko to takie antymickiewiczowskie, przecież jesteśmy lepsi od innych, w takim razie nie gramy, mogą nas ograć, ale i tak odniesiemy moralne zwycię-

stwo.

**Od kalkulowania blisko do kolaborowania...**

- Często to słyszałem. Pod wpływem tradycji martyrologicznej, istnieje dla nas jedyna alternatywa: ginąć, oddawać się martyrologii albo kolaborować. Za dwadzieścia lat z Barcelony będziemy pamiętać tylko Messiego, a my mieliśmy wtedy czterdziestu Polaków w rządzie austriackim. Nie wszyscy byli jednakowo ważni, jak Agenor hrabia Gołuchowski, Michał Bobrzyński, Biliński czy Dunajewski, ale to nie znaczy, że miałem pominąć ministra Zdzisława Morawskiego, czy ministra do spraw Galicji Edmunda Rittnera. Polacy byli najbardziej zdyscyplinowani, gdzie tam było do nich Czechom, a nawet Niemcom.

**Od początku naukowej kariery fascynuje pana dziewiętnastowieczna Galicja.**

- W Polsce interesują mnie dwie dzielnice Wielkopolska i Małopolska: które Polskę stworzyły. Galicją zainteresowałem się z powodu Bobrzyńskiego, a raczej z powodu myśli politycznej Galicji. W XIX w. Uniwersytet Jagielloński przeżywał rozkwit, królowała rasowa myśl polityczna. Krakowskie środowisko Stańczyków, intelektualistów i arcyciekawych ludzi zawsze mnie fascynowało. Politycy PRL nie mogli na nikim zrobić dobrego wrażenia, byli siermiężni i głupi. A tu czytałem o politykach, którzy byli profesorami, pisali uczone traktaty, wygłaszali świetne mowy, potrafili wysnuć nieprawdopodobne syntezy, cieszyli się międzynarodowym autorytetem. A pierwszym wśród równych sobie był Michał Bobrzyński. Historyk, namiestnik Galicji, minister w rządzie austriackim, dalej wiceprezydent Rady Szkolnej Krajowej, szef konserwatystów. Zainteresowało mnie, że uczony został politykiem. I nieźle sobie radził. Chociaż podzielam teorię, że jak ludzie myśli biorą się do polityki, to na ogół polityka na tym cierpi. Przez Bobrzyńskiego, przez myśl konserwatywną wciągnąłem się w galicyjskie sprawy.

**A Poznańskie?**

- W Wielkopolsce w czasie zaboru także nieźle sobie radziliśmy. Bazar stanowi pomnik naszej zaradności, solidaryzmu społecznego; dowód na to, że nie poddaliśmy się, nie przegraliśmy. No, ale tam w Galicji, to już w ogóle wygrywaliśmy.

**Sukcesy, sukcesami, a z drugiej strony bieda, o której pisał kościaniak Stanisław Szczepanowski w traktacie pt. „Nędza Galicji”.**

- To teoria znacznie wyolbrzymiona, zależy, o jakich obszarach mówimy. Jak pani pojedzie do Lwowa, nigdy nie pomyśli, że to była nędza. Najbardziej reprezentacyjna część: opera, banki, pałac Potockich powstały za galicyjskich czasów. Poznań przy Lwowie wydaje się biedny, mały i skromny, jeśli chodzi o architekturę. Książka Szczepanowskiego jest dowodem, jak dobrze użyte słowo, o czym już święty Jan Ewangelista dobrze wiedział, potrafi przez pokolenia wywoływać określony skutek skojarzeniowy. Przeprowadziłem

nawet sondaż, z czym kojarzy się Galicja. Oczywiście nie z Krakowem, teatrem, sztuką, tylko z nędzą. „Nędza Galicyjska” – sąsiedztwo dwóch słów, za którymi stoi urodzony w Kościanie Stanisław Szczepanowski. I to jest jego wielkie zwycięstwo, ale to nie jest prawda. Jeśli chodzi o wieś to ona była rzeczywiście uboga, ale miasta ubogie nie były. Szczepanowski na pewno był świetnym pisarzem i kapitalnym publicystą...

**Chyba był lepszym pisarzem niż przedsiębiorcą, o czym świadczy jego upadek, bankructwo i przedwczesna śmierć.**

- Nie jest wystarczająco doceniany jako publicysta. Przeważnie jest tak, że jak ktoś lub coś tak mocno się skojarzy, jak on z tytułem książki, to potem nie funkcjonuje już poza tym tytułem. Kłoss nie funkcjonuje poza „Stawką większą niż życie”. Kto pamięta, w jakich innych filmach Mikulski jeszcze wystąpił? Wie pani, byłby to całkiem pożyteczny trud, gdyby ktoś napisał o całym pisarstwie Szczepanowskiego.

2.

**Powiedział pan kiedyś o redaktorze Radia Wolna Europa Macieju Morawskim, że jest „szlachetnym bocianem”, który lata po całym świecie, ale zawsze wraca do rodzinnego gniazda do Jurkowa, tworząc pomosty między Francją i Polską, Paryżem i Ziemią Kościańską. Pan także jest „konstrukтором pomostów” między Poznaniem, a Krakowem, szerzej Wielkopolską i Małopolską.**

- Gdzie mi tam do światowca Macieja Morawskiego. Jeśli tworzę pomosty to między Poznaniem a Krakowem. Zabawne - ja, który jestem członkiem Towarzystwa Hipolita Cegielskiego i laureatem różnych nagród Hipolitywych, prowadzę rubrykę „Ostatni Stańczyk” w „Gazecie Wyborczej” i w Krakowie mówią, że powinienem siedzieć po stronie Stańczyków, nie organiczników. Ale jeśli chodzi o Morawskich, zawsze mnie fascynowali, podobnie jak Raczyńscy. Jedni i drudzy, mieszkając w Wielkopolsce byli bardzo krakowscy. W Poznaniu bywali rzadko, przyjeżdżali do siebie do Jurkowa, do Rogalina. Morawscy interesują mnie głównie z jednego powodu. Lubię to podkreślać, oni sami zresztą też, że w

ich żyłach płynie atrament. To intelektualści, jedna z nielicznych rodzin, gdzie liczba ludzi nadprzeciętnie zdolnych jest wyjątkowa. Morawscy mi nadzwyczaj imponują, bo to jest arystokracja, która nie poprzestawała na herbach. Nadal mają wiele do powiedzenia. Nie o każdej rodzinie arystokratycznej mógłbym to powiedzieć.

**W Kościanie znany jest Kazimierz Morawski, rektor Uniwersytetu Jagiellońskiego, odznaczony Orderem Orła Białego. O jego bracie Zdzisławie, ministrze w rządzie austriackim mówi się mniej.**

- Zdzisławem Morawskim z Jurkowa interesowałem się, ponieważ był ministrem. A ponieważ w mojej ostatniej książce pisałem o Polakach na szczytach władzy, inni interesowali mnie mniej, chociaż cytuję pamiętniki Kazimierza Morawskiego. Zdzisław Morawski należał do elity wielkopolskiej, ale przede wszystkim galicyjskiej, nawet austriackiej. Bardzo dobry pisarz, człowiek, który nie wrócił do Wielkopolski, a Korytowski wrócił do Grochowsk pod Gnieznom. Morawski zrobił wielką karierę. Był odludkiem, z rodziną trzymał, chociaż umiarkowanie, prawie się nie fotografował. Rodziny własnej nie założył.

**Na starość zamieszkał ze starszym bratem Kazimierzem...**

- Panuje opinia, że nie miał wrogów, ale nie miał też przyjaciół, którzy by za nim stanęli. Był dosyć obojętny dla innych. To nie był człowiek formatu Bobrzyńskiego, ale był jedynym z Morawskich, który został ministrem w rządzie austriackim. Zrobił wielką karierę.

**Zdzisław Morawski nie miał wrogów, chociaż mówi się, że tylko ten, kto nic nie robi nie ma wrogów. Pan działa na wielu płaszczyznach naukowej, społecznej i politycznej. Kto atakuje i jak pan się broni?**

- Uważam, że na krytykę się nie odpowiada. Zbyt wielu bolesnych krytyk naukowych nie doświadczam. Dzisiaj w każdej rodzinie, czy środowisku trwa spór cywilizacyjno-ideowy. Uważam, że polityka nie jest warta poświęcenia przyjaźni, ani koleżeństwa. Politycy są zawodowcami, ich sprawą jest kłócić się, ale my nie musimy w tym uczestniczyć. Klemens Metternich (austriacki polityk i dyplomata – dop.





WALDEMAR ŁAZUGA

# Kalkulować...

POLACY NA SZCZYTACH  
C.K. MONARCHII

ZYSK I S-KA  
WYDAWNICTWO

Okładka książki *Profesora*

TM) powiedział kiedyś: „Ja już o sobie każdą opinię słyszałem, dlatego żadnej nie jestem ciekaw”. Wziąłem to sobie do serca i powtarzam ludziom, którym doradzam, kiedy są brutalnie krytykowani.

**A nienawistne komentarze w Internecie?**

- Wie pani, że tylko raz przeczytałem, że Łazugę należy odesłać do podstawówki, bo nie ma podstawowych wiadomości, pisząc że Polska była największa za Wazów, bo wiadomo że za Jagiellonów. Otóż nie, była najpotężniejsza właśnie za Wazów!

3.

**Urodził się pan w Świdwinie, pięknym wielokulturowym miasteczku, leżącym na Ziemiach Odzyska-**

**nych. Co pan czuje do miejsca urodzenia?**

- Urodziłem się tam przypadkiem w domu „za Niemca” należącego do dyrektora Pomorskiej Orkiestry Muzycznej. Dziadek otrzymał go za dom stracony w Wilnie. Pochodził z Ostrzeszowa, ale służył w 5 pułku Legionów Piłsudskiego w Wilnie, tam poznał moją babcię. Dom w Świdwinie był piękny, z internatem i mnóstwem instrumentów muzycznych. Dopiero po latach uświadomiłem sobie, że Świdwinem powinienem zainteresować się bliżej, że przyszedł tam na świat człowiek, który mnie zawsze interesował, a nie wiedziałem że urodził się 300 metrów od mojego domu. Nazywał się Rudolf Virchow, wymyślił po dziś dzień

aktualny termin Kulturkampf. Przeciwnik Bismarcka, liberał, założył kilka partii, był profesorem, patologiem i antropologiem. Mieszkaliśmy niedaleko tartaku. Do dzisiaj noszę ze sobą, bo chyba nie w sobie, zapach ciętego drewna tartaczego. Ten zapach przypomina mi dom, instrumenty, na których ojciec grał, i na których ja dosyć wcześnie nauczyłem się grać.

**Jak pan postrzega „małą ojczyznę”, czy to miejsce urodzenia, na grobach przodków, może zupełnie gdzie indziej?**

- Nie mam jednej „małej ojczyzny”, właściwie mam ich kilka. Tak dzieje się w przypadku człowieka, który często się przemieszcza. „Małą ojczyzną” są dla mnie raczej krajobrazy niż miejsca. Jak zamknę oczy pod powiekami pojawiają się jeziora. Uwielbiam jeziora, pływanie, kajaki. Lubiłem to od dziecka. Ojciec zabierał mnie na spływy kajakowe Drawą. Staram się raz w roku przepłynąć chociaż krótki jej odcinek. Mam ulubione miejsca między Szczecinkiem a Drawskiem, Złocieńcem, okolice Czaplinka. To jest taka „moja ojczyzna”, ale raczej wyobrażona. Dzisiaj „małą ojczyzną” jest las, gdzie mieszkam, bardzo kocham ziemię, te moje trzy i pół hektara. Ale nieraz mam wrażenie, że jestem słabiej zakotwiczony niż ludzie, którzy w jednym miejscu mieszkali przez całe życie. Może przez to, że ojciec pochodził ze Lwowa, dziadek z Ostrzeszowa, babcia i mama z Wilna.

**Przyznają się do pana dziennikarze młodego pokolenia. Mówią, że wiele ich pan nauczył; zresztą sam pan pisze...**

- Przed laty, kiedy istniał jeszcze „Express Poznański” Romek Połczyński, który widział mnie w telewizji zaproponował mi pisanie felietonów. Pierwszy artykuł opublikowałem pod pseudonimem Wojciech Burski, kiedy on był szefem „Expressu” i wiele jemu zawdzięczam. Później Jarosław Piotrowski, redaktor naczelny „Głosu Wielkopolskiego” zaproponował pisanie do jego gazety. To on wymyślił znakomity tytuł dla mojej rubryki „Katedra Zdrowego Rozsądku”. Bardzo lubiłem Jarka, spotykaliśmy się także w innych gremiach, nie tylko dziennikarskich. Zwłaszcza, kiedy został sekretarzem kapituły Nagrody Kapuścińskiego

przy marszałku województwa wielkopolskiego.

**Jarek Piotrowski zaczął karierę dziennikarską w „Panoramie Leszczyńskiej” i tam ją zakończył, był przykładem dziennikarza kompetentnego, doskonale władającego piórem, kierującego się etyką dziennikarską. Współpracował także z „Wiadomościami Kościańskimi”. Miał u nas wielu przyjaciół. Często bolał nad upadkiem obyczajów w mediach. A pan co sądzi o współczesnym dziennikarstwie polskim?**

- Różnie bywa. Telewizję – na przykład – opanowała obsesja telemetrii. Liczą się słupki oglądalności. Jeśli w politycznej debacie dyskutanci używają rozsądnych argumentów, rozmowa jest spokojna, merytoryczna, no to słupki lecą w dół. Widzowie zmieniają kanał, bo lubią, kiedy rozmówcy krzyczą i plują na siebie. Rekordy oglądalności bije się wtedy, gdy nikt nikogo nie słucha, wszyscy mówią naraz i wzajemnie się obrażają. Więc jeśli krzywa oglądalności maleje to dla wyrównania strat zaprasza się tak zwanych ujadaczy. Dotyczy to niestety zdawać by się mogło inteligentnych i czołowych dziennikarzy.

#### **Ciemny lud wszystko kupi?**

- Jest coś w tym. To dotyczy nie tylko telewizji, ale też radia i prasy. Założenie, że ciemny lud to kupi, może jest bliskie prawdy. Osobiście wolałbym, żeby dziennikarze nie schlebiali prostactwu. To jest zamknięte koło, bo emitowanie głupoty, głupotę umacnia. Jeśli pani napisze tekst niegłupi, to przynajmniej ktoś, kto go przeczyta zastanowi się i odrobinę zmadrzeje. Zdaję sobie sprawę, że to wszystko jest bardzo trudne. Od dłuższego czasu, także z powodu różnych funkcji doradczych, nic mnie bardziej nie zajmuje niż właściwe dobieranie słów, żeby rozmówca zrozumiał, o co chodzi. Nie wiem, jakie jest dobre wyjście z tej sytuacji; przekonany jestem jednak, że dziennikarz nie powinien zakładać, że mówi czy pisze dla głupszych od siebie. Gdyby założył, że pisze dla mądrzejszych, to czytelnikom i jemu samemu by wyszło na dobre.

#### **4.**

**Wierzy pan w skuteczność nauczania na zasadzie – dzisiaj już rzadko spotykanej - relacji mistrz -**

**uczeń. Pańskim mistrzem był profesor Janusz Pajewski.**

- Jak ktoś znał profesora, wie że trudno było nie ulec urokowi jego osobowości. Tak sobie wyobrażałem wzór przedwojennego profesora, i na szczęście takiego spotkałem. Od drugiego roku studiów wiedziałem, że będę jego asystentem. Kiedy go poznałem, był już człowiekiem samotnym, uczniowie byli jego rodziną. Imponował mi zarówno jako wykładowca i pisarz. Bardzo wiele się od niego nauczyłem. W książce jemu poświęconej napisałem, że nie potrafię wyrazić jak wiele mu zawdzięczam i pod jak ogromnym jego wpływem wciąż jestem. Książka o Gabrielu Narutowiczu jest naszym wspólnym dziełem, za jego życia napisałem jego biografię, potem spisałem jego pamiętniki.

**Kieruje pan Zakładem Kultury i Myśli UAM i teraz pan jest mistrzem dla swoich uczniów.**

- Dostyc dawno zdobyłem tytuły naukowe, nie mam przed sobą większych wyzwań. Poza jednym, ogromnie cieszę się, kiedy widzę co i jak piszą moi uczniowie, jak umacniają pozycję naukową. Najstarszy z moich uczniów jest już profesorem, wkrótce dwóch będzie po habilitacji. Jeśli nieraz słyszę, że zakład i moi uczniowie są najlepszą grupą historyków w Polsce, to nie tylko się z tym zgadzam, ale też jestem bardzo z nich dumny. Trzeba mieć odwagę, żeby dzisiaj pisać o Komunie Paryskiej, tak samo o ministerstwie galicyjskim, czy o polityku Stanisławie Koźmianie. Oni nie uciekają od trudnych tematów, bo pisząc o Komunie Paryskiej trzeba zająć stanowisko w sprawie, o której wypowiadali się i pisali wybitni intelektualisci. Tylko trochę mniej ryzykowna jest praca o Ministerstwie Galicji, która wymaga zrozumienia, na czym w ogóle Austria polegała. To, że podejmują się z sukcesem takich tematów jest dla mnie wielkim szczęściem. Ponadto stanowią zgrany zespół, są świetnie zorganizowani.

**Poza uczniami ma pan także duże grono przyjaciół.**

- Przyjaciele są moim życiowym zapleczem. Przyjaźnię się z ludźmi w różnym wieku i różnych zawodów. Bardzo lubię i cenię Jacka Łuczaka. Zrobił mnie zaocznie wiceprezesem

Towarzystwa Opieki Paliatywnej, bo mu pomagałem. Pokłóciliśmy się wtedy, ale Jacek to jest Jacek, wszystko mu wybaczam, chociaż mnie czasami wkurza. Pod farą regularnie spotykam się z Romkiem Połczyńskim i Andrzejem Wituskim. Rozmawiamy o muzyce, ale też trochę plotkujemy o świecie, o Poznaniu, jaki powinien być, o prezydentach, jak się ma Andrzej do innych prezydentów, Ratajskiego, Drwęskiego i Grobelnego. Uwielbiam te spotkania, także dlatego, że Kocham muzykę, a Romek doskonale się na niej zna. Wskazał nikomu nieznanego Blechacza i stwierdził, że wygra Konkurs Chopinowski. Na dwa lata wcześniej! Myślałem, że tego nie da się przewidzieć.

Mamy też grono ludzi, z którymi dwa razy w roku spotykamy się u mnie na wsi. Pochodzą z różnych parafii; jest pedagog, dwóch lekarzy, inżynier i jeszcze wielu innych, co ciekawe nie ma w tym gronie ani jednego historyka. Spotkania trwają ze dwa dni, śpiewamy, rozmawiamy o wszystkim. Nie wyobrażam sobie życia bez przyjaciół.

**Skoro mowa o muzyce, to o mało nie wygrała z historią.**

- Kiedyś nie lubiłem o tym mówić. Przeżyłem burzliwy okres, który wiązał się z muzyką i gitarą. Ojciec uznał, że dobrze mnie wychował i wiem sam co mogę, a co nie. Miałem 12 lat, wyglądałem na kilka lat więcej, grałem z muzykami dużo starszymi ode mnie. Zacząłem urywać się z lekcji, groziło mi nawet wyrzucenie ze szkoły. Wtedy, kto grał na gitarze, z jednej strony mógł się czuć półbogiem, z drugiej był pod specjalnym nadzorem. Niektórzy, z którymi grałem dzisiaj są dość znanymi muzykami. Swoją gitarę czerwoną sambę oddałem Zbyszkowi Krzywańskiemu z Republiki, który przyszedł po mnie do zespołu. Do niedawna jeszcze grywałem na różnych jam sessions w Poznaniu. Ostatnio, na rok przed jego śmiercią, zagrałem z Jarosławem Śmietaną. To było dla mnie duże przeżycie. Mam wciąż kilka gitar, elektryczne z dwoma piecykami i regularnie grywam. Gitara była moją pierwszą miłością, ale szybko zastąpiła ją historia.

**TERESA MASŁOWSKA**

# Polowałem z Buszmenami



*Kobiety Buszmenów*

**Czy polowałem? Tak to oni sami nazywali. Cóż to jednak za polowanie, w czasie którego nie tylko nie padł najmniejszy nawet zwierz, ale w ogóle takiego nie było widać.**

To, w czym uczestniczyłem określiłbym raczej jako pokaz, jak człowiek może przetrwać na pustyni nie mając z sobą nic do jedzenia ani też żadnego napoju. Ale po kolei. Kim są Buszmeni? To ludzie rasy czarnej wykazujący też pewne cechy rasy żółtej. Są uważani za jedną z najstarszych ludzkich ras. Niektórzy z antropologów uważają, że w epoce neolitu zamieszkiwali także tereny Europy. W czasach późniejszych zamieszkiwali, nawet do osiemnastego wieku, cała Afrykę Południową. Zostali stamtąd wyparci przez ludy Bantu i Burów. Dziś ich wielkość szacuje się zaledwie na około osiemdziesiąt tysięcy i

przebywają na terenie pustyni Kalahari w Namibii i Botswanie.

Żyją bardzo prymitywnie. Nie znają prawa własności. Buszmeni nie potrafią zrozumieć, że coś jest czy może być kogoś własnością. Rodzi to oczywiście olbrzymie kłopoty w spotkaniu z innymi.

Zwyczajem Buszmenów jest wzajemne obdarowywanie się, a nie kupowanie towarów czy usług. Mówią specyficznym językiem opartym na dźwiękach zwanych mlaskaniem.

Myślę, że starczy tych z natury rzeczy krótkich, encyklopedycznych wiadomości. Przebywając w Namibii oczywiście zapragnąłem zobaczyć Buszmenów. Wielkie odległości i brak publicznego transportu spowodował, że musieliśmy skorzystać z samolotu. Z miejsca, gdzie się znajdowaliśmy, niezawodny Andry Schemenn, o

którym już kiedyś pisałem i którego wspominam z największą sympatią, przetransportował nas maleńką Cessną do miejscowości położonej w Naye-Naye Concession Area o nazwie Tsumkwe. Stamtąd już samochodem przybyliśmy kilka kilometrów do hotelu Tsumkwe Country Lodge, gdzie po niewielkim posiłku, znowu samochodem pojechaliśmy do wioski położonej w samym centrum Bushman Landu. I byliśmy pomiędzy Buszmenami. Po krótkiej rozmowie i obejrzeniu prymitywnych szałasów grupa kilku mężczyzn i kobiet wraz z nami ruszyła na pustynię.

O kolorze skóry Buszmena już pisałem. Nie są wysocy. Jak podają, przepraszam znowu powołam się na encyklopedystów, kobiety mierzą średnio około 130 cm, a mężczyźni



*Buszmeński taniec*

niewiele więcej. Mężczyźni zajmują się polowaniem, a kobiety zbieraniem żywności. Ubiorem tych, którym towarzyszyliśmy obok przepaski na biodrach były tylko upstrzone kolorowymi paciorkami bindy (ozdobne opaski na głowie). Mężczyźni nadto dzierżyli w rękach łuki albo włócznie. A kobiece piersi, niektóre zresztą przepiękne, sznury kolorowych koralików.

Na pustyni, a właściwie płaskiej sawannie, bo taką jest Kalahari, rozpoczęło się widowisko. Korzenie jakiejś niewielkiej rośliny, podobne odrobinę do naszej marchwi, służyły za pożywienie. Inna znowu roślina przypominająca olbrzymiego kartofla, wyciskana, gasiła pragnienie. Pogoda była nieszczęśliwa, ciepło ale z zachmurzonego nieba raz po raz padało. Z tym większym niedo-

wierzaniem patrzyłem na próbę rozniecenia ognia wzorem ludzi sprzed wieków, przez tarcie kawałkiem patyka o inny. Jakież było więc moje zdziwienie, gdy najpierw pokazał się dym, a po chwili na skutek energicznych dmuchnięć jednego z Buszmenów buchnął, pomimo wilgoci, płomień i rozgorzało ognisko. Wszystko to wyglądało bardzo przekonująco. Dlaczego więc nazwałem to „widowiskiem”? Chwilę przed tym nim buchnęły płomienie zauważyłem, jak jedna z kobiet, znajdująca się w takim pewnym, oddaleniu od pozostałej grupy, zapaliła papierosa, używając... zapalek.

To pewna oczywistość. Dziś Buszmeni mimo, że mają umiejętności przetrwania na pustyni czy sawannie, rzadko są ich zmuszeni używać z konieczności. Cywilizacja, podobnie jak i

my, czy szerzej turyści, dotarła i tu. Czasami rzecz jasna tylko w fragmentach, ale zawsze. Buszmen od wieków swobodnie wędrował. Zatrzymywał się tam, gdzie była woda. Jak jednak dziś wędrować? Gdy cały kraj podzielony jest płotami, a każdy właściciel zazdrośnie strzeże swej własności. Tylko jest to możliwe, i to w ograniczonym zakresie, na pustyni. Stąd też tu mieszkają i takim jak my, ciekawskim turystom, za oczywiście odpowiednią opłatą, prezentują swoje umiejętności.

Co raz mocniej siąpiący deszcz zgonił nas z pustyni do wioski. Ledwie tam weszliśmy z powrotem zaświeciło słońce. Świat od razu poweselał. Kobiety Buszmenów usiadły w koło, a mężczyźni przy dźwiękach jakiś pieśni obiegali je tanecznym krokiem. Tańczyli zapamiętale. Klaskali, coś krzy-



W wiosce.

Fot. (3x) w zbiorach autora reportażu.

cząc do siebie i nie zwracając na nas w ogóle uwagi.

Po jakimś czasie, śpiewy i taniec skończyły się. Znowu prezentowali swoje umiejętności. Młody chłopak przedstawiał mi skonstruowaną przez siebie pułapkę na małe ptaki. Kawalek sznurka, z jednej strony przyczepiony do białego w ziemię patyka, przygiętego, z drugiej strony sznurek zakończony pętlą. W środku pętli z trzy ziarenka prosa. Ptaszek dziobiący ziarenka, powoduje wyprostowanie się zgiętego patyka, ten zaś zaciska pętlę i łup jest gotowy.

Patrząc na tego chłopaka mimo woli przypominał mi się obrazek sprzed lat. Jako kilkuletnie dziecko siedziałem godzinami na dróżce przebiegającej przed naszą działką na terenie dzisiejszego Osiedla Konstytucji 3 Maja, którego jeszcze nawet początków nie było, ze sznur-

kiem w ręku, w pętli którego znajdowała się marchew i czekałem na przyjście zająca. Jakiś rówieśnik, którego już nazwiska ani imienia nie pomnę, opowiadał mi, nie wiem czy mnie podpuszczając, czy w to wierzył, że jest to sposób na złapanie szaraka. Ten oczywiście nie przyszedł, bo i przyjść do takiej pułapki nie mógł.

Powiadają, że Buszmen nie zna pojęcia pieniądza. E tam. To tylko takie gadanie. W wiosce znajdował się sklepik. Sklepik – to wiele powiedziane. Trzy ledwo trzymające się kije. Na nich zaś prezentowały się możliwe do kupienia przedmioty wytworzone przez wioskową społeczność. Kupiłem najpierw, już nie pomnę za jaką cenę, małą wytworzoną ze sznurka i ozdobioną koralikami damską torebkę. Jakby tego było mało połamiałem się jeszcze na łuk.

Był on w komplecie z kołczanem z rogu, w którym było z dziesięć strzał zakończonych małymi ostrzami. Znacznie lepsze łuki wykonywaliśmy w dzieciństwie z leszczyny na ulicy Poznańskiej. Chłopaka, którego łuk był własnością i który go zrobił poprosiłem o niego. Cena, jaką przyszło mi zapłacić spowodowała zawrót głowy. Dwieście dolarów. Dałem. Nie żałuję. Dziś łuk z kołczanem wisi na moich półkach z książkami. Pozwala bez wysiłku przywołać tamte dni i tamtych ludzi.

Po chwili czas się było żegnać. Czekala nas jeszcze długa droga. A na lotnisku, za które służyła szutrowa droga, jak powiadał Andry, nie było oświetlenia. Cieszyłem się, że mogłem zobaczyć Buszmenów i choć odrobinę ich poznać.

**ZDZISŁAW WOJTCZAK**

# Bieszczadzkie klimaty



*Jeden z niewielu dni bez deszczu.*

**Tydzień w Bieszczadach przy padającym co drugi dzień deszczu, to mało czasu do chodzenia po górach, za to więcej, żeby poznać ludzi i okolicę.**

Na pierwszy ogień, chociaż może to nienajlepsze określenie, wieś Baligród. Wsiadamy z autobusu na rynku, wita nas czołg na podwyższeniu. Z tablicy dowiaduję się, że to symbol wdzięczności mieszkańców dla Armii Radzieckiej. Ale ten tutaj T-34 nie miał z walkami z UPA nic wspólnego. Zaraz po wojnie w tym miejscu stanął czołg T-70, którego używano do walk z oddziałami Ukraińskiej Powstańczej Armii - był jedynym ocalałym egzemplarzem, więc w latach siedemdziesiątych zabrano go do Muzeum Broni Pancernych Centrum Szkolenia Wojsk Lądowych w Poznaniu. Trzeba było tłuc się pociągiem i autobusem kilkanaście godzin, żeby się dowiedzieć, że prawdziwy bohater tych okolic stoi sobie, jak gdyby nigdy nic w Poznaniu. A Baligród musiał zadowolić się czołgiem, którym wojnę wygrali filmowi

czterej pancerni. Z początku trochę dziwi ta wdzięczność dla Armii Czerwonej, ale ustępuje kiedy zagłębiam się w krwawe losy bieszczadzkiej ziemi. Nic tu – jak w życiu – nie było białe lub czarne. Kto dziś katem, jutro ofiarą.

## Czas terroru i krwi

We wrześniu 1939 r. tereny opanowały wojska niemieckie, a administrację Ukraińcy, wrogo nastawieni do Polaków. Jesienią 1942 r. w Zasławiu koło Sanoka naziści wymordowali miejscowych Żydów. Poza tym, że w Baligrodzie funkcjonowała Placówka Armii Krajowej nr VII, którą od 1943 do 1944 r. kierował Jan Marciak, ps. „Dąb”, niewiele więcej wiadomo o jej działaniach. Latem 1944 r. Bieszczady znowu spłynęły krwią. Ukraińska Powstańcza Armia 30 lipca w lesie koło Baligrodu zamordowała jedenastu mieszkańców Średniej Wsi. Mieszkańcy Baligrodu obawiając się kolejnych napadów zwrócili się o pomoc do aptekarza Ukraińca, który obiecał, że miejscowi nie ruszą Polaków,

ale nie był w stanie tego zapewnić ze strony obcych. Na tych obcych nie trzeba było długo czekać.

„Umundurowana sotnia „Burłaka” ustawiła się w szpaler przed kościołem i zatrzymywała wychodzących przed czasem Polaków. Wiadomość dotarła do środka i ludzie przestali wychodzić. Striści zamierzali po nich pójść, ale drogę do świątyni zasłonił własnym ciałem i autorytetem miejscowy ksiądz greckokatolicki. Zabrali więc 48 mężczyzn i zaprowadzili nad Hoczewkę, gdzie prawie wszystkich rozstrzelali. Bezprzykładna zbrodnia rozpoczęła panowanie terroru i strachu. Kiedy dwa dni później do Baligrodu wróciły oddziały niemieckie, które, jak się okazało, nazbyt się z ewakuacją pokwapili, ludność powitała ich jak wybawicieli.”

Obelisk z tablicą z 42 nazwiskami upamiętnia pomordowanych. Rok później 1 sierpnia 1945 r. banderowcy zaatakowali baligrodzki posterunek milicji. Funkcjonariusze przez całą noc odpierali atak przez



Czołg czterech pancernych, co sami wygrali wojnę. Fot. Teresa Maślowska

całą noc, wreszcie Ukraińcy wycofali się paląc po drodze kilka domów. Podobno stali za tym miejscowi księża grekokatolicy, wśród napastników rozpoznano byłych policjantów ukraińskich z Baligrodu i miejscowych z sąsiednich wiosek. Walki z UPA toczyły się jeszcze długo od zakończenia wojny. Pod Jabłonkami niedaleko Baligrodu zginął generał Karol Świerczewski „Walter”. Historycy wciąż nie mogą zgodzić się, kto załatwił człowieka, co się kulom nie kłaniał, czy sprzątnęła go UPA, czy swoi. Jedno pewne, jego śmierć stała się pretekstem do przeprowadzenia brutalnej pacyfikacji Ukraińców w akcji „Wisła”.

#### „Spójrz na ten krzyż”

Nieco za wsią w cichej okolicy znajduje się Cmentarz Wojenny Żołnierzy Polskich i Radzieckich. Żołnierze i oficerowie 34 Pułku Strzelców Budziszkańskich, którzy stacjonowali we wsi, założyli go dla poległych towarzyszy broni. W mogiłach spoczywa kilka tysięcy polskich żołnierzy,

leżą żołnierze z Dywizji Korpusu Bezpieczeństwa Wewnętrznego, Grupy Manewrowej Wojsk Ochrony Pogranicza i 16 Pułku Piechoty, którzy polegli w bitwach z bandami UPA. Kilka lat później przeniesiono tam ciała ekshumowanych żołnierzy sowieckich walczących z banderowcami w powiatach leskim, ustrzyckim i krośnieńskim.

Przy wejściu wybija w górę brzozy krzyż z napisem: „Przechodniu! Spójrz na ten krzyż, żołnierze polscy wzniesli go wzwyż, ścigając faszystów przez lasy, góry i skały, dla Ciebie Polsko i dla Twojej chwały”. Na środku cmentarza pomnik z grunwaldzkimi mieczami i symbolicznym zniczem. Z napisem po polsku i rosyjsku: „Bohaterom Armii Radzieckiej i Ludowego Wojska Polskiego poległym w latach 1944-1947 w walce z niemieckim i rodzimym faszyzmem.”

Na polskich grobach stoją krzyże, na rosyjskich poduszki z pięcioramiennymi gwiazdami. Niektórych żołnierzy udało się

rozpoznać, ci przynajmniej mają imię i nazwisko, ale większość pozostała bezimienna. Na grobach dzikie bratki, tu i ówdzie wije się bluszcz, przy niektórych zgasły znicz. W alejkach wiecznie zielone tuje, wokół drzewa. Widać dbałość o mogiły. Spokój. Poza nami nie ma nikogo.

Groby z gwiazdami. Wiele anonimowych. Starszy lejtnant Iwan Jewtuszenko. 36 lat. Wacław Gorodyski. Dwadzieścia lat. Wasyl Deresz. Dwadzieścia jeden lat. To nie jest wiek na śmierć, kiedy życie dopiero się zaczyna...

I nasi żołnierze. Starszy strzelec Edmund Nowakowski. Miał dwadzieścia pięć lat, kiedy zginął w 1947 r. I jego zdjęcie siedzącego na koniu. Starszy szeregowy wopista Antoni Nowacki z Poznania. Żołnierze z całej Polski ginęli w Baligrodzie, Dołżycy, Jabłonkach, Zagórze, Lesku. Długo by wymieniać. Młodzi, po dwadzieścia, dwadzieścia kilka lat i starsi trzydziesto, czterdziestoletni. Dla mnie nazwiska, suche daty, ale po



Pomnik z grunwaldzkimi mieczami na cmentarzu w Baligrodzie

Fot. (3x) Teresa Masłowska

wojnie niejedna matka nie doczekała syna, żona nadaremnie wypatrywała męża, a dzieci ojca. Staram się o tym pamiętać mijając grób za grobem. Zaczynam także lepiej rozumieć wdzięczność ludzi stąd, dla których wolności i spokoju ci żołnierze przelali krew. Tak samo, jak rozumiem, dlaczego w Jabłonkach wciąż stoi pomnik generała Świerczewskiego, a w Poznaniu musiał runąć. Oblicze generała, wykute w granitowym obelisku, zwrócone jest w kierunku ostatniej walki. W rocznicę śmierci organizowane są uroczystości, składane kwiaty. Chociaż zawsze ktoś krzyknie, że generał był zbrodniarzem.

#### Beskidniki

Od zawsze Bieszczady przyciągały oryginałów, artystów życia, różnego rodzaju rozbitek życiowych uciekających przed alimentami lub wyrokiem. Już przed wiekami dzikie bieszczadzkie ostępy udzielały schronienia „ludziom wyjętym spod prawa” – zbójom, których nazywano tołhajami, czyli beskidnikami. Napadali na dwory i wsie, obrabowywali przejeżdżających kupców. W latach 50. ub. wieku w Bieszczadach nie było już ani rozbójników, ani miejscowych, za to brakowało rąk do pracy. A że za robotę płacono dwa razy więcej niż gdzie indziej, zaczęli się zjeżdżać ochotnicy z całej Polski. Wśród nich wielu było takich, którzy uciekali od rodzinnych problemów, czasem ścigani przez prawo, innych nosiło, nie potrafili nigdzie na dłużej zagrzać miejsca. Nikt ich

nie wypytywał o życiorys, z początku nawet o świadectwa szkolne, czy doświadczenie zawodowe. Od czasu do czasu milicja robiła nalot i zabierała jednego z drugim.

Wybitny krakowski aktor Jerzy Trela, w jednym z wywiadów, opowiadał jak zaraz po maturze nie wiedział, co ze sobą zrobić, więc na krótko wyjechał pracować przy wyrębie lasu w Bieszczadach. Bieszczady zagrały w noweli Hłaski, na podstawie której Czesław Petelski nakręcił film „Baza ludzi umarłych” z wybitnymi rolami Tadeusza Łomnickiego „Partyzanta” i Leona Niemczyka „Dziewiątki”. Ponury obraz o rozbitek życiowych pracujących przy przetadunku drewna, których z różnych przyczyn los przygnał w to miejsce na końcu świata.

Kultowy w latach 70. pisarz Edward Stachura w „Siekierzadzie” wystąpił jako alter ego poetę Janka Praderę na wycinkę w bieszczadzkie lasy. Z książki powstał film, a w rolę Janka wcielił się Edward Żentara. Poeta obiecywał: „Przyrzekam sobie ja, Janek Pradera, nie dam się. Przyrzekam tobie, dziewczynko moja, gałązko jabłoni, dopóki sił, będę szedł, będę biegł, nie dam się”. Chyba i poecie, i aktorowi zabrakło siły, bo obaj zakończyli życie samobójstwem.

#### Bajki o rycerzach

W latach 70 i 80 w Bieszczady ściągali hipisi, ciesząc się tutaj względną wolnością i wciąż dziką przyrodą. Usłyszałam, że

dzisiaj naprawdę ciekawych ludzi już nie ma. Bez przesady, kilku spotkałam. W miejscowym barze poznałyśmy Gustawa, kucharza i barmana. Porcje serwuje ogromne, denerwuje się jak ktoś zostawi resztki na talerzu. A ponieważ zawsze, ale to zawsze coś zostawiam na talerzu, obrywa mi się. Jakbym słyszała moją matkę.

W Wetlinie łatwo poznaje się ludzi. W barze przysiadła się „Rumian”, który wygląda jakby wyskoczył z musicalu „Hair”. Kolorowa tunika, szerokie spodnie, chrystusowe sandały i długie włosy przewiązane chustą. Dosiadł się i gadał, gadał, gadał... O tym, jak trafił do Wetliny, że utrzymuje się pomagając tu i tam, o rycerskich korzeniach, spaniu w lesie i zbieraniu ziół, szeptuchach na Podlasiu. Pożegnał się bajką o smokach i rycerzach. Porządną, bo na końcu dobro zwyciężyło.

Główną drogą od czasu do czasu szedł boso, niczym lunatyk, wychudzony chłopak. Dokąd, po co? - A to Sławek – mówili miejscowi. – Chodzi bez butów, żeby nic go nie oddzielało od matki Ziemi. Śpi w lesie, na trawie. Podobno, co jakiś czas przyjeżdżają po niego rodzice, zabierają do domu, odkarmiają. Po jakimś czasie znowu idzie drogą w Wetlinie. Ja też nabrałam ochoty, żeby tam kiedyś wrócić.

**TERESA MASŁOWSKA**

*\*) Korzystałam m.in. z przewodnika Pascala po Baligrodzie, publikacji Krzysztofa Potaczały „Bieszczady w PRL-u”.*



**„Prawda wychodzi na jaw”**

Maciej Morawski, były korespondent paryski Radia Wolna Europa, rodem z Jurkowa, od lat systematycznie pisze dzienniki. Większość zapisków zdeponował w Bibliotece Polskiej w Paryżu. Tradycyjne zeszyty poszły w ką, a Maciej Morawski zamienił pióro na klawiaturę komputera. Poniżej drukujemy kolejny odcinek wyjątków z dzienników pisanych w 2014 r. Czytać je można w całości na internetowej stronie: [maciej.morawski.blox.pl](http://maciej.morawski.blox.pl)

**30 marca**

Jerzy Zielonka - publicysta, słynny kronikarz Ziemi Nadbrzańskiej, laureat nagrody imienia ambasadora Kajetana Dzierżykraj-Morawskiego, poinformował mnie telefonicznie, iż Radio Merkury nadało rewelacyjną audycję pt.: „Historia, jakiej nie znacie - Zniszczyć księdza”. Otóż ceniony historyk Jarosław Burdhardt znalazł w IPN-ie w Poznaniu teczkę operacyjnej walki SB z księdzem Florianem Kmiotkiem. Ten Pallotyn był „solą w oku” władz PRL, więc złamano mu intrygami życie zawodowe, odebrano paszport, jemu, który tak był związany z Paryżem. Wszystko to ciężko zaciężyło na jego zdrowiu. Stał się, podobnie jak ja, weteranem tak zwanej „zimnej wojny”.

Ks. Florian był moim naprawdę bliskim przyjacielem. Pracując w latach osiemdziesiątych, w jakże ważnych pallotyńskich ośrodkach w Paryżu, ułatwiał mi, korespondentowi RWE, kontakty z zatrzymującymi się na rue Surcouf (u Pallotynów) wybitnymi krajowymi intelektualistami. Później umożliwiał nagrywanie odczytów, jakie ci „krajowcy” wygłaszali w pallotyńskim Centrum Dialogu. Często odwiedzał mnie w biurze RWE na 20 Avenue Rapp. Tak, oddał on RWE wielkie usługi. (Gwoli dokładności przypomnę, że również pomagali mi inni ludzie z pallotyńskiego kręgu: Danuta Szumska - redaktor pallotyńskich Editions du Dialogue, superior Zenon Modzelewski, ks. dyrektor Marian Falencyk). Ksiądz Kmiotek bywał też częstym gościem w Maisons-Laffitte w „Kulturze” - zdarzało się, że przewoził do Polski publikacje „Kultury”. Jak mi kiedyś powiedziała Zofia Hertz - nieraz bywał bardzo pomocny w poufnych sprawach.

SB-ecja, zasobna w tajnych współpracowników, tak bacznie nas obserwująca, oczywiście musiała znać te związki ks. Kmiotka z nami, z - jeśli wolno mi to tak

**Dzienniki Macieja Morawskiego (XIX)**

Autor „Dzienników” w 2013 roku, na ławeczce Patrona Mariana Koszewskiego w Zespole Szkół nr 4 w Kościanie.

Fot. Teresa Maślowska

określić - emigracją walczącą. Stąd ta tak ostra „wojna” z Nim. Z kolei odnotuję, że - co dla mnie najważniejsze - Florian był moim wiernym przyjacielem. Mimo, że już nie żyje, nadal czuję jego obecność. Bywał on u nas na wsi, w dworze mej żony, w centralnej Francji. Miał dobry wpływ na żonę, nieraz tak mocno zaniepokojoną pogroźkami „czerwonego”. Ten ksiądz był naprawdę kapłanem - powiedziałbym - w duchu obecnego papieża Franciszka. Dawał wspaniały obraz Kościoła. Senator Jan Filip Libicki w swych znakomitych „Plusach i Minusach” - o ile pamięć mnie nie myli - stwierdza, że wiele osób, po wielu latach, przez kontakt z księdzem Kmiotkiem poszło znowu do spowiedzi, i pewnie by nie poszli, gdyby z drugiej strony siedział „ktoś za kratką” w sutannie; poszli, bo mniej się bali, bo szli do kogoś, kto nie stwarzał dystansu; kto tego, pierwszego po latach sakramentu, udzielał im na spacerze, a czasem przy stoliku z kawą...

**2 kwietnia**

Wciąż myślę o materiałach IPN o ks. Florianie Kmiotku. Tak, myślę, że na poznańskim Domu Księży Pallotynów winna się pojawić ufundowana ze składek tablica ku czci niezłomnego księdza Floriana Kmiotka. My, tu we Francji, wierni ks. Florca przyjaciele - np. Marek Szypulski i ja - oraz wielu innych, też będziemy podtrzymywać pamięć o tym

kapłanie tak odważnym, do tego skromnym, umiającym bez pompy i dystansu podchodzić do ludzi.

**15 kwietnia**

Sytuacja ukraińska, gra Putina - siłą rzeczy wywoływać muszą niepokój w niepodległych krajach b. ZSRR. Staje się bowiem coraz bardziej jasne, iż prezydent Rosji z wielką nostalgią wspomina minione czasy. Marzy o odzyskaniu straconych ziem, o zbudowaniu nowej, podległej Moskwie wielkiej federacji. O tym marzą także niekiedy, spore w obecnie wolnych krajach byłego Związku Sowieckich Republik Rad, mniejszości rosyjskie. Gdy chodzi o społeczeństwo samej Rosji, to oczywiście górują w nim „nastroje patriotyczne”, nadzieje na odbudowę super potężnego mocarstwa, poczucie solidarności ze współbratymcami, którzy znajdują się poza granicami ojczyzny. Jednak, jak słyhać, w Rosji zaczynają również padać pytania, ile to wszystko będzie nas kosztować, jak to wszystko odbije się na naszym poziomie życia? Wiele ostatnio się w Moskwie mówiło o panice na giełdzie oraz o spadku kursu rubla, o wpływie tego na ceny, tak tam modnych towarów importowanych.

Sporo starych Rosjan dobrze pamięta krwawą i jednak długą „wojnę” ZSRR z Ukraińską Armią Powstańczą UPA. Perspektywa akcji terrorystycznych

ukraińskich „uzbrojonych po zęby” nacjonalistów, perspektywa długotrwałego zatargu z nimi - niepokoi pewną liczbę Rosjan. Mówi się też ponoć w Moskwie, że jeśli liczni Ukraińcy marzą o zbliżeniu do Unii, to dlatego, ponieważ łudzą się, iż taki nowy stan rzeczy pozwoliłby im łatwiej jeździć na Zachód i tam pracować, „dobrze zarabiać”. Jakiś Moskal, dobry lekarz, ponoć z lekka ironicznie dodaje – „ja też zapewne mógłbym w Paryżu więcej zarabiać”. Tak więc niewątpliwie atrakcyjność Zachodu jest wielka, nie tylko dla Ukraińców, lecz i dla Rosjan

#### 21 kwietnia

Moje zdumienie wywołuje, krążący w Internecie tekst pisarza Thierry'ego Meyssana, głoszący w podtytule, iż Polska już dwa miesiące wcześniej wyszkoliła ukraińskich „puczystów”. Tytuł całości brzmi: „Prawda wychodzi na jaw”.

Na wstępie autor twierdzi, że w dwa miesiące po zmianie władzy w Kijowie, polska prasa przynosi rewelacje dotyczące implikacji rządu Donalda Tuska w przygotowywanie kijowskiego zamachu stanu. Te „rewelacje” ponoć pokazują, iż obecny rząd tymczasowy Aleksandra Turczynowa został narzucony przez NATO. Autor tekstu powołuje się na... tygodnik „NIE” Urbana i pisze, że Radosław Sikorski zaprosił do Polski we wrześniu 2013 r. 86 członków ukraińskiego „Prawego Sektora” pod pretekstem „kooperacji uniwersyteckiej”! W ciągu czterech tygodni „przeszli oni w Polsce specjalne szkolenie dotyczące taktyki walki, budowania barykad” itd. Następna bzdura - podjęta rzekomo także w ślad za „NIE” przez ów artykuł - głosi, że ponoć istnieją zdjęcia owych Ukraińców w nazistowskich mundurach i ich instruktorów polskich po cywilnemu. Ale nie będę przytaczał wszystkich absurdalnych tez tego znanego pisarza-polemisty Meyssana, wszędzie wężącego spiski USA, tym bardziej, że nie znam artykułu w „NIE”, na który się powołuje.

#### 23 kwietnia

Przed kilku godzinami poczta przyniosła mi wruszający prezent od Stowarzyszenia Absolwentów Gimnazjum i Liceum w Kościanie (zdałem tam maturę w styczniu 1946 r.). Bardzo piękny i starannie opracowany „z kościańską rzetelnością” album pt. „Przywołane z historii ocalone z pamięci. Gimnazjum i Liceum w Kościanie w latach 1923-2013”. Naprawdę ta przesyłka trafiła mi do serca, więc bardzo serdecznie dziękuję Prezesce

Czesławie Pogorzelskiej-Albińskiej, całemu Zarządowi Stowarzyszenia, wszystkim współautorom tej, tak mądrze opracowanej książki. Od razu zacząłem ją czytać. Pasjonująca lektura. Ucieszyły mnie zawarte w tym dziele dwie moje fotografie, zrobione kilka lat temu w czasie mej wizyty w liceum.

#### 25 kwietnia

W 2014 roku przypada setna rocznica wybuchu I wojny światowej, która przyniosła nam niepodległość, lecz „wykrwawiła” Europę i zapoczątkowała spadek jej znaczenia w świecie. Pewna liczba naukowców próbuje teraz zrozumieć, co leżało u podstaw braku zdolności przewidywania, która to niewątpliwie cechowała w 1914 r. ludzi wówczas rządzących czołowymi państwami naszego kontynentu.

Władcy Niemiec, Rosji, Austro-Węgier nie dostrzegli groźby klęski i własnego upadku. Przywódcy, np. Francji, dali się zaskoczyć ogromem strat w ludziach i długością tej, wyniszczającej całą Europę pierwszej wielkiej wojny. A gdy chodzi o nasze czasy, to chyba rzuca się w oczy, że przywódcy Unii Europejskiej nie przewidzieli biegu wypadków na Ukrainie, np. skutków akcji przeciw prezydentowi Wiktorowi Janukowyczowi - akcji, która dała Władimirowi Putinowi pretekst do zagarnięcia Krymu i do jego obecnej agresywnej gry.

#### 26 kwietnia

Czytelnik pyta mnie o to, jak układały się stosunki Kademora, czyli mego ojca Kajetana Dzierżykraj-Morawskiego z RWE i Janem Nowakiem. Odpowiedź prosta. Ojciec, jak mawiał, uważał RWE za zasadniczy instrument kontaktu emigracji walczącej z krajem, jej dialogu z krajem. Sam często zabierał głos przed mikrofonami Rozgłośni Polskiej RWE. Nadał m.in. długą serię audycji o dwudziestolecu niepodległości (wydana została pt. „Wczoraj” przez Polską Fundację Kulturalną w Londynie w r. 1967, a następnie w kraju „poza zasięgiem cenzury”). Poza tym ojciec między innymi przez wiele lat brał udział w paryskich okrągłych stołach RWE, prowadzonych przez Witolda Nowosada, z regularnym udziałem Józefa i Marii Czapskich i Jeleńskiego oraz niekiedy dopraszanych osób.

Ojciec mój naprawdę uważał Nowaka za czołową, chyba najważniejszą postać naszej „drugiej wielkiej emigracji”. Podkreślał, że Nowak, ów niezłomny

bojownik o wolność Polski, był - co u nas niestety rzadkie - człowiekiem „skutecznego czynu”, człowiekiem, którego autorytet moralny i wola walki miały duży wpływ na najwyższe sfery kierownicze USA. Ojciec dodawał, że Nowak miał też tak rzadki u nas dar pełnego rozumienia tego, co w Polsce i świecie zachodzi. Dla PRL był na pewno wrogiem szczególnie niebezpiecznym; stąd te kampanie oszczerstw godzące weń, kampanie będące - jak mawiał ojciec - w prostej linii spadkiem po metodach niszczenia wrogów przez carską ochronę.

#### 27 kwietnia

Dokonane w czwartek 17 kwietnia przez ekipę finansowaną przez NASA (Narodową Agencję Aeronautyki USA) odkrycie planety pozasłonecznej „typu ziemskiego” Kepler 186F, nadal wywołuje tu różnorakie echa i dyskusje. Paryski tygodnik VSD przynosi duży artykuł, stawiający jasno już w swym podtytule pytanie, co by wynikało z odkrycia, że nie jesteśmy jedynymi mieszkańcami wszechświata? Jak na razie naukowcy nie są w stanie powiedzieć, czy na pewno na Kepler 186F może istnieć życie. Ale w związku z przewidywalnymi postępami w dziedzinie teleskopów kosmicznych, za kilkanaście lat być może stanie się to możliwe (planeta jest, co prawda za daleko nawet dla obecnie będącej w przygotowaniu generacji teleskopów, ale dość szybki postęp w tej dziedzinie jest jednak wielce prawdopodobny).

Naukowcy różnych dziedzin w tym socjologowie i teologowie zastanawiają się, jakie byłyby reakcje ludzkości na potwierdzenie hipotezy, iż poza naszą ziemią istnieje życie? Już w marcu br. watykańskie, papieskie obserwatorium astronomiczne sponsorowało naradę - debatę naukowców na temat życia pozaziemskiego. Ponoć niektórzy uczestnicy tego spotkania byli zdania, że zapewne w ciągu najbliższych lat uda się odkryć życie poza ziemią. Dyrektor Obserwatorium Watykańskiego Jose Gabriel Funes SJ, narodowości argentyńskiej, niewątpliwie zagadnienie omawiał z papieżem Franciszkiem. Jest jasne, że wrogowie Kościoła będą starali się owo (niewykluczone) życie poza ziemią wykorzystywać przeciw niemu. Jezuiti, tradycyjni i jakże wykształceni oraz jakże sprawni obrońcy naszej matki Kościoła - niewątpliwie potrafią stawić czoła takiej ewentualności.

**Wybór i oprac. TERESA MASŁOWSKA**



## Matka Czacka i jej Dzieło (1)

Matka Elżbieta Czacka z współtwórcą Lasek - Antonim Marylskim.

Fot. w zbiorach Zgromadzenia Sióstr Franciszkanek Służebnic Krzyża w Laskach

Czaccy osiedlili się w Poznaniu w połowie XIV w., kiedy król Kazimierz Wielki nadał im majątek Czacz koło Kościana. Ówczesnym zwyczajem przyjęli nazwisko „Czaccy”, które pojawia się po raz pierwszy w poznańskich dokumentach z 1382 r.

Czaccy należeli do średniozamożnej szlachty, ale dzięki zasługom

i koligacjom z bogatymi rodami wspinali się coraz wyżej po społecznej drabinie. Długi jest korowód znakomitych postaci rodu Czackich. W każdym pokoleniu pojawiał się jakiś wybitny przedstawiciel rodu. Jeden z nich – Piotr Czacki w 1515 r. uzyskał w Wiedniu, od cesarza Karola V, tytuł hrabiego cesarstwa, potwierdzony później przez cara

rosyjskiego w 1897 r.

Protoplastą Czackich kresowych był Wojciech Czacki, który wybił się dzielnością w bitwie pod Chocimiem w 1673 r. Drogą małżeństwa – w posagu, otrzymał dobra poryckie: Poryck i bardzo urodzajne ziemie, ok. 5 tysięcy ha. Do najbardziej znanych postaci rodu Czackich należeli: Tadeusz – pradziadek Róży Czackiej i Włodzimierz – stryj Róży. Tadeusz Czacki, człowiek o bardzo szerokich zainteresowaniach, był politykiem, historykiem, prawnikiem, bibliotekarzem, współtwórcą Towarzystwa Przyjaciół Nauk, ale historia zapamiętała go głównie jako założyciela słynnego Liceum Krzemienieckiego – szkoły na poziomie uniwersyteckim. Włodzimierz Czacki, kuzyn Zygmunta Krasieńskiego, był sekretarzem papieża Piusa IX, biskupem, dyplomata, nuncjuszem papieskim w Paryżu, kardynałem i orędownikiem Polski.

Róża żyła wielką rodową tradycją, jej osobowość ukształtowała działalność przodków, jednak największy wpływ miał ojciec Feliks Czacki. Był z wykształcenia przyrodnikiem i wzorowo gospodarował w majątku Koniuchy na Wołyniu (Poryck skonfiskowano za pomoc powstańcom w 1863 r.), słynął ze społeczno-obywatelskiej działalności i głębokiej religijności. Dzięki ojcu Róża zdobyła, nieznaną ówczesnym szlachciankom, wiedzę na temat spraw gospodarczych.

### Życiowe powołanie

Róża Maria Czacka urodziła się 22 października 1876 r. w Białej Cerkwi na Ukrainie, w majątku, którym administrował ojciec. Gdy miała sześć lat rodzice zamieszkali w Warszawie, w pałacu, gdzie także mieszkała jej ukochana babka ze strony ojca. Róża otrzymała domowe, ale wszechstronne wykształcenie. Znała języki (angielski, francuski, niemiecki, łacina kościelna), uczyła się tańca, kochała muzykę, lubiła jazdę konną; bywała „w świecie”, czego nie lubiła.

Od dzieciństwa groziła jej utrata wzroku. Wielokrotne operacje, w Polsce i za granicą, nie przyniosły oczekiwanego skutku, resztki wzroku straciła w wieku dwudziestu

dwu lat. Od warszawskiego okulisty usłyszała wyrok – ślepotą, ale zarazem wezwanie, aby zajęła się innymi niewidomymi, którzy w Polsce żyli w nędzy, na marginesie społecznym i nikt się nimi nie interesował, co otwierało przed nią drogę do działalności charytatywnej. Postanowiła podjąć prace nad przygotowaniem niewidomych do pełnowartościowego uczestnictwa w społeczeństwie ludzi widzących, a poprzez wzmocnienie wiary przywrócić im sensu życia. Kalectwo przyjęła stosunkowo spokojnie, a z czasem głęboka wiara sprawiła, że potraktowała je jako dar Boży. Pierwsze dziesięciolecie po utracie wzroku poświęciła na naukę radzenia sobie „po niewidomemu”, przyswojenie umiejętności czytania i pisanja punktowym pismem Braille’a, co pozwoliło na poszerzenie wykształcenia. Podróżowała po Europie, odwiedzając zakłady dla niewidomych, poszukując wzorców, które mogłyby wykorzystać dla polskich niewidomych, ale nie przenosząc ich bezkrytycznie do kraju. Zainspirowana zachodnimi instytucjami i osiągnięciami rozpoczęła działalność opiekuńczo-edukacyjną wśród niewidomych w Warszawie w 1908 r.

Rok później zmarł ojciec Róży. Środki materialne uzyskane z działów rodzinnych przeznaczyła na niesienie wszelakiego wsparcia ludziom pozbawionym wzroku. Pomocy udzielali krewni i przyjaciele. W 1910 r. powstało pierwsze schronisko dla niewidomych w Warszawie. Z czasem działalność ta zyskała ramy organizacyjne, powołano Towarzystwo Opieki nad Ociemniałymi, zalegalizowane w 1911 r., stanowiące część składową Dzieła, działające do dziś. Miało za zadanie „racjonalne wychowanie, kształcenie i reedukację niewidomych, by mogli być użytecznymi możliwie najbardziej samodzielnie i samowystarczalnymi członkami społeczeństwa” – napisze po latach Matka Czacka w „*Ideowych założeniach Dzieła*”. Staraniem tej instytucji w latach 1911 – 1914 powstawały kolejne placówki: warsztaty dla mężczyzn, przytułek dla staruszek, szkoła dla chłopców, ochronka oraz

biuro przepisywania książek metodą Braille’a, biblioteka brajlowska i patronat dla niewidomych na terenie miasta, obejmujący swą opieką rodziny niewidomych. Utratę wzroku Róża potraktowała jako osobiste życiowe powołanie. Jej postawa i działalność zdobywały coraz szersze uznanie, jednak powstającej instytucji stale towarzyszył problem lokalowy, zła sytuacja finansowa i brak odpowiednich ludzi do pracy z niewidomymi.

W połowie 1915 r. Róża Czacka udała się na Wołyń. Wyjazd ten, z powodu wojny i wygnania, trwał trzy lata. Spędziła je w Żytomierzu, odcięta od swych podopiecznych w Warszawie. Treścią jej życia stało się pomaganie biednym, zwłaszcza niewidomym i modlitwa, z której zrodziło się powołanie zakonne, a w konsekwencji rozstanie z wygodnym światem luksusu, zgoda na ubóstwo oraz tworzenie od podstaw nowego zgromadzenia zakonnego, które miałyby za zadanie opiekę nad niewidomymi i służenie im na każdym etapie ich życia. Uzyskawszy pozwolenie biskupa łucko-żytomierskiego, Róża przywdziała habit III Zakonu św. Franciszka i złożyła śluby wieczyste, przyjmując imię zakonne Elżbieta.

W Żytomierzu spotkała księdza Władysława Krawieckiego, który był człowiekiem otwartym na potrzeby innych, cenionym wśród księży katolickich i prawosławnych. To on stworzył później podwaliny powstającego Dzieła Róży, opracowując wraz z nią *Konstytucje ideowe* dla rodzącego się zgromadzenia. W połowie 1918 r. powróciła do Warszawy. Mimo trudności finansowych i lokalowych Zakład przetrwał lata wojny, a wraz z powrotem siostry Elżbiety wszedł w nowy etap historii Dzieła.

#### Przenosiny do Lasek

Szło nowe, za progiem czekały wielkie zmiany. Powrót Róży Czackiej w habitcie oznaczał przyjęcie przez Dzieło charakteru katolickiego, z czym nie zgadzali się niektórzy członkowie zarządu Towarzystwa Opieki nad Ociemniałymi. Nastąpiła zmiana zarządu i części pracowników. Siostra Elżbieta, którą wkrótce

zaczęto nazywać Matką Elżbietą, nadal dążyła do doskonalenia niewidomych w Zakładzie na Polnej, a niektórym z nich udawało się później kończyć szkoły dla widzących.

Od listopada 1918 r. Matka Elżbieta zaczęła przyjmować pierwsze kandydatki do nowego zgromadzenia. Stworzyła zgromadzenie, którego cel i reguła były dostosowane do wymagań opieki nad niewidomymi, a główną troską stała się opieka nad niewidomymi dziećmi i młodzieżą. W Konstytucjach Zgromadzenia pisała: „*Bóg w miłosierdziu swoim powołał Zgromadzenie Sióstr Franciszkanek Służebnic Krzyża do oddawania chwały Trójcy Przenajświętszej przez życie Ewangelią poświęcone apostołstwu i służbie niewidomym...*”, które za patrona obrało św. Franciszka z Asyżu.

Radą i wsparciem służył nuncjusz apostolski Achilles Ratti, późniejszy papież Pius XI. Siostry podejmowały proste funkcje, traktując je jako posługę. Przeszkadzała nieopisana ciasnota, przeprowadzki i bieda. Jediną możliwością zdobywania żywności i materiałów pierwszej potrzeby stała się kwesta po instytucjach i mieszkaniach prywatnych. Ciosem dla całego Dzieła była śmierć ks. Krawieckiego w 1920 r., a dodatkową troską choroba Matki Elżbiety i jej dwie operacje (1921 i 1922 r.).

Były też promyki nadziei na lepsze – opatrnościowe wydarzenia. W 1921 r. Antoni Daszewski ofiarował Matce Czackiej 5 mórg ziemi w Laskach pod Warszawą. Mimo że trwał bardzo trudny czas dla całego kraju, a Laski były piaszczystą wydumą, która przysiadła na skraju Puszczy Kampinoskiej, w tym samym roku ten ugór zaczęto zabudowywać. Powoli powstawał budynek po budynku i jednocześnie zaczęto przenosić do Lasek niewidomych i siostry zakonne. Powstało osiedle Laski, a nazwa ta jest symbolem całego Dzieła. (cdn)

#### TERESA WIŚNIEWSKA

\*) *Opracowano na podstawie wspomnień s. Joanny Lossow i materiałów zebranych podczas pobytu w Laskach.*

# Twórczość Tadeusza Hofmańskiego

## DO EWY SKARGA NA PIERWSZE PO JEJ ODEJŚCIU ROZPOZNANE REALIA

Kochanie  
w lodówce nieco puściej  
(jadłem więc?!)

i wśród Twoich  
znalazłem swój  
długopis

kilogram cukru  
jest i jest  
(tak nie było nigdy)

A poza tym  
Kochanie  
nadmierzajnie

Co – Dzień  
koślawieje

## DO EWY Z PYTANAMI JAK Z BŁAGANIEM

Ten moment  
Kochanie

Kiedy zasypiałaś  
Czy pamiętasz?

W samotną błogość  
Schodziłaś jak gdy

conocnie w miękkość  
nadjawy wracać?

Tylko spokojniej jeszcze?  
W ukojeniu?

Ten moment  
Kochanie

kiedy zasypiałaś?  
czy pocieszysz?

## DO EWY DZIĘKI WYZNANIU POWOLNE PRZYBLIŻANIE

Skąd miałabyś wiedzieć  
Kochanie  
jak bolą

nasze  
ścieżki miejskie  
i niemiejskie?

I skąd miałabyś wiedzieć  
Kochanie  
jak boli:

Nikogo u prawego boku  
a poza tym  
wszystko jak było?

Chyba że wiesz  
Kochanie

więcej nieskończenie?

## DO EWY PYTANIA W OKOLICZNOŚCIACH TYLKO POZORNIE RÓŻ- NYCH

Tak jeszcze bardzo  
Kochanie  
będąc Pomiedzy

(choć bliżej Po  
coraz gdy  
krótsze Między)

skowytem swoim  
czy Wiekuistość  
Twoją tnę?

Ten zza chmur  
Kochanie  
światła refleks

co mi wargi  
musnął  
czy od Ciebie?

## Z DESPERACKIM ZAŚWIAD- CZANIEM NADOBECCNOŚCI EWY DOCHODZENIE DO KOŚCIA- NA

Kościan zachowuje się względem mnie naprawdę przyzwoicie. Naprawdę okazuje życzliwość. Nawet w budynku dworca stacji Kościan – tchnącego świeżością, lecz z powodu pustej przestrzeni i wystroju zdecydowanie zniechęcającego do spędzenia tu choćby kilkunastu minut – pojawiając się, odczuwalnie ociepla atmosferę. Jakby odpowiadał na moje nieustające zapotrzebowanie na ładunki serdeczności. Na odczuwanie impulsów zrozumienia.

Kościan najprawdopodobniej jest zorientowany, że moje kontakty z Ewą są bolesne. Niemoc cielesności i niemoc fizyczności oczywiście uniemożliwiają takie spotkanie, jakiego bym pragnął. Kościan doskonale wie, że chętnie przyjąłbym zamianę. Żeby subtelność spotkań z Ewą nie była tak daleko idąca. Żeby spotkania Ewą miały przynajmniej tę intensywność co spotkania z Kościanem.

I Kościan nie ma pretensji. Rzeczywiście rozumie. Kiedy w mieście Lesznie przeżyłem przywołanie wielokrotnie powtarzanej sytuacji wpatrywania Ewy wśród przechodniów przemierzających południową część Rynku i gdy zacząłem się dusić, chcąc nie zawyć z bólu, Kościan stanął mi za plecami. Usłyszałem słowo „dosyc”. Być może słowo „dosyc” było przekazywane od Ewy. Ale wymówił Kościan.

Nie jestem więc nadal partnerem dla Kościana. Kiedyś bardziej dociekałem swojego statusu i przywiązywałem wagę do kwestii godnościowych. Teraz jest inaczej. Teraz zastanawiam się, jaki kształt będzie miało pełne spotkanie z Ewą. Jaką postać będzie miało unieważnienie mojej obecnej fizyczności i mojej obecnej cielesności. Jaką postać będzie miało nasycenie subtelnością.

Dla Kościana nie jestem partnerem. Ale potrafię już z nim współodczuwać: historyczność jest przerażająca. Kościan naprawdę zasługuje, bym zachowywał się względem niego przyzwoicie.

TADEUSZ HOFMAŃSKI

# Poezja Eugeniusza Wachowiaka

## Korowód dzwonny

A znasz korowód  
W krąg się kręcą dzwony  
młot o spiż uderza  
obrzeże iskrzy  
a przekleństwa z bruku  
co dzwon to serce  
okruch żaden sobie  
w dźwiękach i tęczy  
z koronek sentencją  
z imieniem świętym  
tu na tej wyżynie

A znasz korowód  
O przekleństwie mówię  
bo zbezczeszczo w dzwonie ideały  
że już nie sięga  
tam gdzie w łąkę sięgał  
gdzie gładził niwy  
i kołysał kłosa

Więc się układam  
z tobą ręka w rękę  
więc się przez bruk ten  
toczę pustym gestem  
więc przez bruk ten  
po sznur dzwonu sięgam

Oni już idą  
Boże bądź zuchwały  
jeszcze raz drogę  
wytycz ku wieczery  
a ja ci ogrom  
gniewu twego ujmę  
i w dzwon swój zadnę  
aż do kołysania  
wieży i ptaków  
na odległych drzewach  
i z uchodźcami  
wrócę do Bengalu

A znasz korowód  
kibitka za lasem  
postaci łańcuch  
dzwoni łańcuchami

## Moment

To drzenie  
aż do szpiku  
ten ból  
do samych trzewi  
za łopotaniem serca  
grymas ściśniętych ust  
i śmierć  
w zielonych łąkach  
w mchów miękkich aksamicie  
w chłodnym ornacie wrzosów

Mówię dziś tak niewiele  
Mówić dziś chciałem długo  
w zapalonym rozpale  
w rozpalonym zapale  
a tylko słowem  
tylko sylabą  
tą głoską jedną  
tchem

## Lepiej

Lepiej by scenograf  
spalił rekwizyty  
wraz z całym teatrum  
mojego wspomnienia  
wraz z całym balastem  
jarmarcznej tandety  
która oprócz miejsca  
cenny czas wykrada

Lepiej by scenograf  
skończył z tym od zaraz  
bo przykro w miłości  
zostać bez przedmiotu  
który wrócić może  
dnia mi nieznanego  
i stanąć jak myślnik  
w samym środku drogi  
o takiej godzinie  
która nie wydzwania

## EUGENIUSZ WACHOWIAK

\*) *Wiersze pochodzą z tomiku „Słowo i gest” wydanego przez Wydawnictwo Poznańskie w Poznaniu w 1976 r.*



Jubilatka Krystyna Grys

Benefis znanej wielkopolskiej poetki Krystyny Grys odbył się w maju br. w Galerii „Lochy” Miejskiej Biblioteki Publicznej im. Stanisława Grochowiaka w Lesznie. Uczestniczyli w nim m.in.: prezydent miasta Leszna – Tomasz Malepszy, dyrektor leszczyń-

## Benefis w „Lochach” Poetka debiutowała w Kościanie

skiej biblioteki Małgorzata Halec, prezesi: oddziału bydgoskiego Związku Literatów Polskich – Dariusz Tomasz Lebioda i poznańskiego – Paweł Kuszczynski oraz aktor Tomasz Zięcik. Całość prowadził poeta leszczyński, ze Śmigła rodem, Ryszard Biberstajn.

Krystyna Grys urodziła się i mieszka w Lesznie. Należy m.in. do Związku Literatów Polskich i Leszczyńskiego Stowarzyszenia Twórców Kultury, którego jest wiceprezeską. Jako poetka debiutowała w październiku 1993 roku na łamach „Wiadomości Kościańskich” i systematycznie współpracowała z redakcją „WK” przez sześć lat. W 1996 roku ukazał się jej pierwszy zbiór wierszy „W oczach lustra”. Od tego czasu wydała 19 tomów poetyckich, zawierających zarówno wiersze liryczne, jak i fraszki, limeryki, a także utwory dla

najmłodszych czytelników. W 2011 roku ukazała się jej książka „Smak życia”, będąca podsumowaniem dotychczasowego dorobku. Jest laureatką ogólnopolskiej Nagrody Pracy Organicznej im. Marii Konopnickiej.

W czasie benefisu wręczono jej Nagrodę Literacką im. Klemensa Janickiego oraz promowano nowy tomik wierszy „O miłości”, który poświęciła swemu zmarłemu mężowi. Jednocześnie Nagrodą Pracy Organicznej im. Marii Konopnickiej uhonorowano Małgorzatę Halec – dyrektorkę miejskiej biblioteki w Lesznie.

Benefis miał także liczne akcenty kościańskie. Jubilatka (urodzona w 1934 roku) z sentymentem wspominała pierwsze próby poetyckie drukowane w Kościanie i częste kontakty z redakcją. W imieniu zespołu „Wiadomości Kościańskich” list gratulacyjny, podpisany przez red. red. Jerzego Wizerkankiuka i Jerzego Zielonkę, odczytała Katarzyna Żurek. Grono przyjaciół znad Obry składa Jubilatce najlepsze życzenia z głębi serc płynące.

T. M.



Jubilatce w imieniu zespołu „WK” życzenia składa Katarzyna Żurek. Fot. (2x) Magdalena Kaczmarzka



**Kontynuujemy druk wybranych fragmentów unikalnej książki pt. „Z przeszłości miasta Wielichowa 1429-1929” wydanej nakładem wielichowskiego Magistratu w Drukarni Śremskiej z okazji 500-lecia miasta. Jej autorem jest polski historyk i architekt Adam Henryk Kaletka (ur. 22 XII 1877 w Wielichowie, zm. 6 I 1956 w Poznaniu). Zachowano pisownię oryginału.**

Tak znaczne rozmiary, jakie pożary przybierać mogły, przypisać należy przede wszystkim dawnemu sposobowi budowania w drzewie i krycia budynków słomą a także brakowi dostatecznych środków ratowniczych. To też w tym właśnie kierunku szły już oddawna starania władz miejskich. W r. 1747 przedłożyli mieszcianie kapitule życzenie, aby – zapewne pod jej presją – „ci, którzy w rynku mieszkają, snopki pozrzucawszy, gontami domostwa pobili” i „żeby mieszcianie na każdym domostwie drab mieli ob. periculum (ze względu na niebezpieczeństwo ognia). W

kwietniu 1760 skazany został Walenty Słoma, w którego domu „przez niedozór i nieopatrzenie komina” wybuchł ogień, szczęśliwie zresztą ugaszony, „aby lepszy dozór był i insi się karali i wystrzegali, ogień w ostrożności mieli..., aby oddał grzywien 10, dworowi 5, na ratusz 5, do kościoła farnego postawnic parę 1-funtowych, ratusz siedzieć dni 3”. Poza tym nakazano mu, aby dom pokrył gontami. O sikawce pomyślano jednak dopiero po wielkim pożarze tegoż roku. Zakupiono ją w Lesznie, przyczem kapituła w formie pożyczki zadatkowała na nią 400 zł.

Lepiej przygotowano akcję zapobiegawczą i ratunkową dopiero w XIX. w. Dążono więc przede wszystkim do usunięcia drewnianych kominów, tak, że w r. 1837 było ich już tylko 6 w całym mieście, i wszystkie kazano czyścić co cztery tygodnie przez kominiarza (1843), starano się o usunięcie dachów słomianych i szkudlanych (w r. 1851 były domy w rynku, z

wyjątkiem 3, kryte dachówką, tylko w ulicy Grodziskiej była większa ich część jeszcze kryta słomą lub szkudłami), zakazano palenia tytoniu na ulicach i podwórkach pod 2 tal. kary (1843), zarządzone (1816) tygodniowe pogotowia (stałe 2 obywateli i konie) na wypadek pożaru, na ślepy alarm bito raz po raz w wielki dzwon kościelny, później w bęben, i przy tej sposobności ćwiczone ludność w używaniu i obsłudze sikawki, właścicielom domów nakazano zaopatrzyć się w sikawki ręczne i wiadra (1819).

Że tak szczerze pojęte wysiłki czasem odniosły pożądany skutek, widzimy z faktu, że po r. 1834 pożary, jakkolwiek jeszcze dość liczne, nie zdołały już nigdy przybrać tak katastrofalnych rozmiarów, jak poprzednio.

**Wojny. Pochody i postoje wojsk**

Klęskę nie mniejszą od pożarów, prześladowających ludność nawet w czasie głębokiego pokoju, stanowiły najazdy wojsk obcych na





*Pocztówki wielichowskie (2x) ze zbiorów Muzeum Regionalnego im. dra med. Henryka Florkowskiego w Kościanie*

kraj, niedostatecznie przygotowany na swoją obronę, jako że krwawe łuny towarzyszyły im wtedy już nieodłącznie, a gwałty, rabunki i wymuszania, popełniane na bezbronnej ludności, wywoływały zwykle powszechną nędzę. Zdarzało się niestety zbyt często, że nawet w czasie pokoju wojska krajowe w swej niesforności niejednej okolicy kraju nie mniej srogo dały się we znaki, niż wojska nieprzyjacielskie. Ciosów podobnych nie uniknęło także i Wielichowo.

W r. 1649 wrócił z Małopolski do Wielkopolski pułk dragonów, stojący pod komendą Jacka Rozdrażewskiego. Stanowisko wyznaczono mu w kilku starostwach i dobrach duchownych, m.in. także w kluczu wielichowskim. Na utrzymanie swoje pobierać miał od mieszczan i włościan podatek, płatny z obsianych ról, którego wysokość była ściśle oznaczona. Nie troszcząc się o to, począł pułk podatek ten wymuszać w podwójnej wysokości a ponadto z ról pustych żądać licznych podwód i innych świadczeń i wogóle w najrozmaitszy sposób uciskać ludność. Miarą nadużyć, popełnianych w samem tylko

Wielichowie przez niekarne żołdactwo, jest fakt, że suma niesłusznie od mieszczan wymuszonych podatków wynosiła blisko 3000 złotych. Na tem tle doszło widocznie do poważnego zatargu między mieszczanami a wojskiem, przyczem miasteczko „spustoszone i wniwecz obrócone zostało tak, że poddani mieszczenie z powodu największej nędzy i biedy zmuszeni byli do ucieczki z pomienionych dóbr i wsi. Szwedzi, którzy w kilka lat później kraj najechali, dokonali prawdopodobnie reszty, a stan zniszczenia, w jakim się miasto w tym czasie znajdowało, ilustruje dokładnie wykaz osiadłości z r. 1660, według którego w mieście były ogółem tylko 34 domy zamieszkałe a 49 pustych.

Zimę z r. 1665 na 66 spędzają w Wielichowie wojska pod komendą pp. Reja, Janczewskiego, Jacka Iwanickiego i chorążego Szczydłowskiego, dopuszczając się gwałtów w okolicy.

W r. 1671 zmuszone jest miasto pożyczyć od Kaspra Balcera 100 zł „na (w)zniesienie gwałtownego żołnierza”, w roku 1699 sto tynfów od Wawrzyńca Krzeczyńskiego „na (w)zniesienie żołnierza pancer-

nego” (wojny tureckie) i w obu przypadkach wierzycielom dać w zastaw łąkę miejską, leżącą „przy gaci”.

Począwszy od bezkrólewia do śmierci Augusta II, kiedy kraj już od szeregu lat był i w dalszym ciągu pozostał areną walk stronnictw politycznych i wielkim obozowiskiem wojsk państwa sąsiednich, posiadamy o niedoli Wielichowa dość dużo wiadomości. W latach 1734 i 35 stoją tutaj wojska polskie (nie wiadomo, czy regularne, czy też konfederackie) pod dowództwem Grabowskiego (rotmistrza), Sibilskiego, Wolińskiego i Zawojkiego a także saskie, żyjąc na koszt dworu a niewątpliwie i miasta i żądając pozatem rozmaitych dostaw od okolicznych magazynów. Wiemy też, że celem ochrony dóbr przed wojskami polskimi zjechał do Wielichowa X. kan. Prażmowski i że wsie kapitulne przed rekwizycjami ratować trzeba było przez odpowiednią opłatę. W r. 1738/9 grasują tu wojska rosyjskie, tak samo w r. 1757/8, pozatem jacyś żołnierze w r. 1758/9.

W r. 1759/60 stali w Rakoniewicach kozacy i husarze rosyjscy,

rekwirując (oddać im trzeba, że raz po raz płacili) także w Wielichowie, przyczem dwór zabraną sobie pszenicę w jednym wypadku wykupuje za 92 zł 28 gr. W tym czasie miała około Wielichowa miejsce potyczka, niewątpliwie między wojskami rosyjskimi a pruskimi, które w ciągu 7-letniej wojny (1756-63) kilkakrotnie podjazdami niszczyły założone przez Rosjan w Wielkopolsce magazyny wojskowe. Rannych na 14 wozach odwieziono do Poznania.

Rok 1760/61 zaznaczył się znów kilkakrotnie rekwizycjami ze strony wojsk rosyjskich i znacznymi wydatkami dworu na ich utrzymanie. Tak w tym jak i w następnym roku zmuszony był dwór wykupywać od żołnierzy zabrane sobie zboże i siano. „Kupują” też kozacy jęczmień od dworu, nie płacą jednak za niego, płacą natomiast wspaniałomyślnie 100 zł za siano. W r. 1762/3 notował dwór znów wydatki na wojsko, znajdujące się częściowo w przemarszu. Również Prusacy zagnali się ponownie pod Wielichowo.

Konfederacja, zawiązana w r. 1768 w Barze, jeden z energiczniejszych, lecz już ostatnich wysiłków zrzućcia obcego jarzma. Zyskawszy silne oparcie w Wielkopolsce, pozostawiła ślad po sobie również i w Wielichowie. Przed upływem pierwszego półrocza 1769 wyekwipowało miasto kosztem 740 zł 27 gr w barwę (mundur), konie i potrzebny rynsztunek wojenny (pistolety, karabinki i szable) dwóch, dwór zaś w podobny sposób ośmiu pachołków. Każdy z nich otrzymał pozatem przy wyprawie 50 zł strawnego. Na wyprawienie dziewiątego pachołka złożył dwór dalsze 100 zł.

Odtąd spotykamy w mieście aż do upadku konfederacji (1772) to konfederatów, to Moskali, to znów Prusaków, ostatnich jednak wobec wspólnego celu, jakim miał być rozbiór Polski, już jako sprzymierzeńców rosyjskich. Konfederatami, którzy w mieście często stali kwaterą, dowodzili w r. 1769/70

komendanci: Bardzki, Białokórski, Małachowski, Wojciechowski, w r. 1771/2: Bronisz, Chodubski, Jaskowski, Kurowski, Potocki, Sokolniki (rotmistrz) i Wielichowski, w r. 1771/2: Rdułtowski. Jeden z oddziałów rosyjskich stał pod dowództwem Lange'go (1770/1 i 71/2), jeden z pruskich pod Prittwitz'em (1771/2). Utrzymywanie i odżywianie wojska i koni, wypasanie łąk, rekwizycje zbóż, które trzeba było następnie wykupywać, dostawy furazów do okolicznych i odleglejszych magazynów, kradzieże („ukradł Niemiec” 2 maciorki owcze) były znów na porządku dziennym.

Wojska pruskie stoją w mieście jeszcze w latach 1772/3 i 73/4, kozacy rosyjscy jeszcze 1774/5 i 76/7. Wymagania wojsk pruskich są w r. 1772/3 tak wielkie, że dostarczone im przez dwór furaze przewyższają kilkakrotnie kontyngensy z lat ubiegłych. Żądane dostawy przewyższały nieraz całe zapasy danego zboża, to też dwór w wypadkach takich zmuszony był nabywać je a gotówkę a mimo to razem z miastem naraził się kilkakrotnie na bezwzględne egzekucje wojskowe.

W r. 1793 widzimy w mieście wojska pruskie, wkraczające do Polski celem dokonania drugiego rozbioru. Po rozbiorze wyznaczono wielichowianom, którzy jako mieszczanie dotąd nie mieli jeszcze sposobności zapoznania się z przymusową służbą wojskową, do odświadczenia jej 1-szy pułk artylerii w Berlinie. Jaki udział w r. 1794 Wielichowo bierze w powstaniu kościuszkowskim, nie wiemy. Możemy tylko stwierdzić, że powstańcy przebywają w mieście.

Wobec powstania r. 1848 mieszczanie nie pozostali obojętnymi. W marcu ogłoszono upadek pruskiego panowania i pozrywano orły państwowe, lecz już około 10. kwietnia udało się władzom pruskim sytuację opanować, zwłaszcza przy pomocy 3-go baonu 18 pułku obrony krajowej pod komendą majora v. Hohendorff'a. Posterunek wojskowy pozostał jednak w mieście przynaj-

mniej do końca lipca. Czynny udział w powstaniu lub też pośredni przez popieranie akcji wzięli: robotnicy Cerba Łuk., Danel Mać., Filipowicz Tom., Gajewski Piotr, Jander Benon, Jankowski Tom., Józwiak Wawrz., Młyńczak Łuk., Nowacki Ant., Popiół Mat., Wali-góra Szym. i Zajac Faustyn, parobcy Borowiak Franc., i Waszkowiak Jacek, stolarze Bartłomiejewski Teofil i Kozłowski Ant., krawiec Romanowski Mich., rzeźnik Heidermann Wilh., szewc Słowikowski Józ., czeladnik Stawski Józ., uczniowie Bobkiewicz Juljan i Węglewski Wojc., owczarz Jakubek Andre., obywatel Jandziński Wal., dzierżawca gospodarstwa Gładysz Winc. i pisarz prywatny Bartłomiejewski Franc. Pozatem przetrzymano przez krótki czas w areszcie jako podejrzanych burmistrza Winc. Rymarkiewicza i dzierżawcę dóbr wielichowskich Reiser-t'a. Duszą całego ruchu był Józef Słowikowski, który ukrywając się na pobliskich błotach i w okolicznych wsiach, żywą uprawiał agitację przeciwpruską a dla ścigających go energicznie władz stale pozostawał nieuchwytnym.

W r. 1863 działał jako agent, podległy komisarzowi na powiat kościański, Józefowi Plucińskiemu z Konojadu, szewc i rybak Antoni Słowikowski. Pod jego wpływem lub też z własnego porywu poszli do powstańców: robotnicy Bąk Mich., Bręborowicz Ant. i Kaczmarek, czeladnik rzeźnicki Jaedel Stan., uczeń młynarski Zalisz Ign., kominiarz Schlegel, oraz Heinrust Mich., Józwiak Ant., Nowicki Nepom. i Nowicki Ludwik.

Najdawniejszy ślad udziału Wielichowa w wypadkach wojennych odnieść należy do r. 1458. Na skutek uchwały sejmiku średzkiego wysłało miasto w pomoc wojskom, oblegającym zamek malborski, dwóch zbrojnych piechurów (Przemęt 2, Wolsztyn 4, Śmigiel 7, Grodzisk 12, Ziemin nie wymieniony, Rakoniewice i Rostarzewo jako miasta jeszcze nie istniały). (Koniec)

Wybrała

**TERESA MASŁOWSKA**

## Ks. Piotr Bączkowski (1841-1894)

# „Sermierz w walce kulturalnej” (2)



Odnowiona płyta nagrobna na Starym Cmentarzu Katolickim w Kościanie.

Fot. Teresa Mastowska

Akcja germanizacyjna nasilała się. W 1876 roku Prusacy frontalnie zaatakowali Kościół katolicki m.in. na Ziemi Kościańskiej. Wbrew woli prawowitej władzy duchownej do Kościana przysłano rządowego proboszcza, Niemca ks. Juliusa Brenka. Decyzja ta spowodowała długoletni bojkot ze strony

wiernych. Pisze o tym mgr Jan Pawicki.

Przeciwko takiemu postępowaniu władz zgodnie zaprotestowało duchowieństwo całego dekanatu kościańskiego, a wśród nich ks. Piotr Bączkowski. „Kuryer Poznański” w dniu 9 grudnia 1876 r. zamieścił treść protestu z 6.12.1876 roku:

„Ażeby wobec znanego już faktu wprowadzenia przez władze rządowe na dzień 25 listopada r. b. dotychczasowego komendarza na Piaskach, Juliusza Brenka, na beneficjum w Kościanie, żadnej zgoda nie było z czyjejbądź strony wątpliwości co do stanowiska Duchowieństwa dekanatu kościańskiego – my niżej podpisani kapłani oświadczamy, że protestacją naszego księdza Dziekana, zaniesioną do naczelnego p. prezesa w całej rozciągłości przyjmujemy i że z tymże Juliuszem Brenk żadnych a żadnych zgoda związków mieć nie możemy i nie chcemy”.

Julius Brenk zdając sobie sprawę z tego, że parafian kościańskich w ich oporze będą wspomagać ks. ks. Bączkowski i Bielski spowodował ich wydalenie z Kościana. Dekret banicji został im wręczony przez burmistrza w dniu 4 stycznia 1877 r.:

„Jak tylko smutna rozeszła się wiadomość, że kochani księża gwałtem będą wywiezieni za granicę Księstwa cała parafia wydała jęk boleści. Cała niedziela (7 stycznia) od rana do wieczora zesłała na rzewnych pożegnaniach. Mieszczanie i lud wiejski, starzy i młodzi przychodzili do mieszkań księży, ażeby pożegnać się i odebrać błogosławieństwo. Kilka tysięcy ludzi nawiedziło progi księży Bączkowskiego i Bielskiego...”.

W dekrete banicyjnym podano, iż przyczyną wydalenia księży było niepoprawne wykonywanie funkcji duchownych jeszcze za życia poprzednie proboszcza ks. Welnitza. Obaj księża zostali wywiezieni do Strumborka na Śląsku. Nastroje, jakie panowały w tym czasie w Kościanie relacjonował w dniu 17 stycznia 1877 r. „Kuryer Poznański”:

„Dopóki byli księża z nami, mieliśmy jeszcze nabożeństwa, chociaż w małych kaplicach było ciasno i gorąco, jednak miło było słuchać mszy św. A teraz chyba do obcych parafii się przytulimy, bo do

kościół zajętego przez p. Brenka chodzić nigdy nie będziemy. Wiemy bowiem, że Jego Eminencja ks. Kardynał rzucił na niego wielką klątwę kościelną, którą w łacińskim i polskim języku wydrukowaną na murze blisko kościoła czytało wielu parafian”.

Okres banicji dla księży Bączkowskiego i Bielskiego trwało ponad rok. Dopiero w lutym 1878 r. księża powrócili do Kościana. Na ich powitanie wydano uroczystą kolację, na którą przybyło 17 księży i 143 parafian. W tym całkowicie ignorowany przez parafian Brenk, do którego zwracano się „per pan” dopuszczał się czynów, które stały się głośne nie tylko w Niemczech, ale i zagranicą. Chodzi szczególnie o pogrzeby. Parafianie nie chcieli, by uczestniczył w nich Brenk. Na tym tle dochodziło do gorszących wydarzeń z udziałem władz i żandarmerii. Zmarłych chowano na cmentarzach w innych miejscowościach. Wielu parafian spotkały w tych sprawach dotkliwe kary. Trudna była praca ks. Bączkowskiego wobec szykan, z jakimi spotykał się ze strony Brenka. Sam ks. Bączkowski donosił ks. abp. o procesach i utarczkach prowadzonych z „państwowym proboszczem”, a w 1887 r. informował go, że „w ciągu 10 lat panowania w Kościanie Brenk udzielił tylko jednego chrztu, jednego ślubu i odprawił tylko jeden pogrzeb. Ludność polska nigdy nie pogodziła się z Brenkiem”.

W tym okresie ks. Bączkowski został przez władze duchowne mianowany proboszczem. Z wiadomych względów nie mógł początkowo tych obowiązków wykonywać. Wreszcie z dniem 1.7.1889 r. po otrzymaniu emerytury w wysokości 5000 mk, Brenk opuścił Kościan. Wydarzenie to sprawiło wielką radość kościańskim parafianom i było szeroko komentowane przez polską prasę.

„Z dniem dzisiejszym ustają w archidiecezjach naszych działania tej klątwy; ci, co nią byli dotknięci, albo się z Kościołem pojednali, albo w grzechach swych pomarli, albo opuścili tę ziemię ojczystą, której tak boleśnie dali się we znaki, i której tak okropnie się wywdzięczyli... Ostatni

odchodzi w dniu dzisiejszym Brenk i dzisiaj uwolniono wreszcie od jego obecności i parafian kościańskich, na których sprowadził tyle niedoli i ucisku, tyle utrapień i kosztów, więziennej kaźni i smutków wygnania. Kościaniacy wrócą znowu do swej starodawnej „fary”...”.

Jak zachowali się kościaniacy w tych dniach? „Panie z najpierwszych domów, panny, niewiasty ze stanu roboczego, nawet małe dziewczęta czyszczą ołtarze, myją świeczniki, zamiatają i myją posadzkę. Przez trzy dni od świtu do późnego wieczora pracują rąk setki ochoczo i z pośpiechem. Z każdą godziną przybywa coraz więcej osób. Już zawieszono przeszło półtora tysiąca łokci girland, a jeszcze drugie tyle i niezliczoną ilość korca bez ustanku zwożą i znoszą z całej parafii. Kto tylko ma piękne kwitnące oleandry i inne kwiaty znosi do kościoła. Nadszedł wreszcie dzień przez wszystkich upragniony i wyglądany; dzień, w którym pierwsze uroczyste nabożeństwo odbyć się miało. Nader wspólnie i uroczyste odbyła się procesja z wystawieniem Najświętszego Sakramentu na zewnątrz kościoła, którą celebrował nasz wieloletni i przez całą parafię kochany ksiądz mansjonarz Bączkowski, poprzedzony szeregiem 24 księży”.

Wydarzenia związane ze sprawą Brenka i to wszystko, co się wokół tego działo w Kościanie stało się inspiracją do wystąpień posłów (nie tylko polskich) w parlamencie pruskim. Szczególnie poruszające było przemówienie ks. dr. Stablewskiego, który mówił m.in.:

„Kościół ma właśnie władać sercami ludzkimi i do dobrego je prowadzić, a narzucać parafii duszpasterza za pomocą żandarmerii jest gorszą rzeczą aniżeli tylko bezskuteczność; jest to krokiem fałszywym, którego bliżej oznaczyć i ocenić nie można, jeżeli się w tak gwałtowny sposób rozkwaterowuje duszpasterzy, jak żołnierzy we wojnie, jeżeli się jak w Kościanie, grozi parafii egzekucją wojskową”.

Krótki, bo zaledwie pięcioletni okres sprawowania rządów w kościańskiej parafii to dla ks. Bączkowskiego nie tylko czas troski o

życie religijne parafian, ale także stan materialny kościańskiej fary i jej otoczenia, które po zaniedbaniach w okresie 15 lat rządów Brenka wymagały gruntownej odbudowy. W 1892 r. przystąpiono m.in. do rekonstrukcji sklepień i przebudowy filarów. Nie było dane dokończyć tych prac kościańskiemu „Szermierzowi w walce kulturowej” jak go nazwali współcześni mu ludzie, gdyż zmarł 13 marca 1894 r., a więc 120 lat temu. Warto nadmienić, że wzorem innych duchownych ks. Bączkowski angażował się w życie religijne swoich parafian, ale także w innych dziedzinach, gdyż był m.in. współzałożycielem powstałego w 1873 r. Towarzystwa Przemysłowego a w latach 1874 i 1881-1889 przewodniczącym Rady Nadzorczej Banku Ludowego. Walka o rząd dusz w okresie Kulturkampf zakończyła się zwycięstwem.

Z okresem rządów Brenka i działalności ks. Bączkowskiego wiąże się znamienne wydarzenie. Na polecenie Brenka w dniu 25 listopada 1876 r. chciano uruchomić kościelne dzwony, które nie chciały chyba słuchać intruza – pękło serce wielkiego dzwonu (dwukrotnie). Dopiero po odejściu Brenka zostały naprawione i służyły parafii. Na tle tego co się stało powstał wiersz, którego autor nie jest znany, ale doskonale oddaje to, co działo się wówczas w Kościanie.

**JAN  
PAWICKI**

*Źródła: Dzieje Wielkopolski 1793-1918, Poznań 1973; Dziennik Poznański 1876-1889; Gazeta Toruńska 1877-1878; Kurjer Poznański 1876-1889; Jaśkowski T., 50 rocznica walki kulturowej w Kościanie, Kościan 1928; Koszewski M., Ks. Piotr Bączkowski, w: Wiadomości Kościańskie nr 11, 1994; Mika J., Walka z kościołem, Kościan 1928; Zielonka J., W Kościańskim przed laty, w: Wiadomości Kościańskie nr 12, 2009.*

*\*) Złośliwy – jak zwykle – chochlik sprawił, że w poprzednim numerze „WK” dwukrotnie, i to na str. 39 i 41, pod tekstami artykułów zabrakło nazwiska ich autora – pana mgr. Jana Pawickiego. Przepraszamy. (Red.)*

# Z kronik szkolnych (3)

## „Źle, źle się dzieje w ukochanej...”

Kroniki szkolne są ważnym źródłem historycznym. W zależności od skrupulatności i pisarskiego talentu prowadzących je nauczycieli dostarczają nam informacji ciekawych, niejednokrotnie zaskakujących nie tylko w odniesieniu do życia samej szkoły, ale także lokalnej społeczności, regionu i całego kraju. Prezentujemy fragmenty kroniki katolickiej szkoły powszechnej w Kiełczewie, która obejmuje czas od 1905 do 1935. Prowadził ją nauczyciel, kierownik szkoły Walenty Jezierski, późniejszy autor monografii powiatu kościańskiego. Problem w tym, że dysponujemy kserograficzną kopią kroniki, a jej oryginału – mimo poszukiwań – nie udało się nam odnaleźć. W tekście zachowano pisownię oryginału.

### Rok 1922

\* Źle, źle się dzieje w ukochanej „która jeszcze nie zginęła”, źle się dzieje w dzielnicy naszej, w powiecie naszym i wsi naszej. Drożyżna okrutna! Pobory nauczycielskie bardzo szczupłe! Nawet zapomogi świątecznej Ministerstwo nauczycielom po wsiach odmówiło. Czy jednak istnieje przyczyna, abyśmy ten Nowy Rok witali jak puszczyki, lub słowami Niemcewicza twierdzili, że „pod szczęśliwym nie zaczyna się godłem”? Nie! Spójrzmy na to ogromne Państwo Polskie, jak urosło z niczego, niby świat stworzony przez Jehowę; na jego koleje, poczty telegrafy, na ulepszenia gospodarki państwowej, na przebudowę armii. I na tę wiarę we własne siły, to powiedzmy sobie, że orać będziemy dalej glebę rodzinną, jak kto umie – w znoju i pocie, w ostatecznym trudzie, z prawdziwym zaparciem samego siebie, aby budowa, rozpoczęta przed trzema laty nabrała karta stali, trwałości granitu i żywości serca ludzkiego.

\* Kuratorjum Okręgu Szkolnego Poznańskiego udzieliło pani Wandzie Mirtyńskiej od 1 I do 1 VIII bezpłatnego urlopu celem objęcia posady przy

szkole żeńskiej w Kościanie; zwolniło od 1 I panią Janinę Wojciechowską z obowiązków szkolnictwa powszechnego, a przeznaczyło od tego samego czasu pana Wojciechowskiego kandydata z Ponieca na jedną z tutejszych posad.

### 22 stycznia

\* Urządziło Towarzystwo Koła Śpiewaczego „Cecylja” w Kiełczewie w Hotelu Warszawskim w Kościanie swe pierwsze przedstawienie amatorskie i odegrało sztukę ludową „Prawica i lewica” z śpiewami, tańcami i śpiewem chórowym.

\* Przez grudzień i styczeń chorowały dzieci bardzo na grypę. Większa połowa nie uczęszczała na przemian do szkoły. O postępowej nauce nie mogło być mowy. O postępowej nauce nie mogło być. Od początku lutego ustała ta choroba. Może ją latosie ciężkie mrozy wypędziły.

\* W Kościanie utworzyło się Towarzystwo Akcyjne „Przemysł Kościański”, które chce eksploatować góry kiełczowskie, gdzie chce urządzić plantację wikliny, rozwinąć przemysł koszykarski, sadzenie drzewek owocowych, fabrykę konserw, wydobyć glinę do celów ceramicznych i ewentualnie fabrykę szkła. Szczęść Boże!

### 24 stycznia

Musiął Dozór szkolny i Reprezentacja podwyższyć wynagrodzenie za opalanie i czyszczenie klas z 3 500 na 18 000 rocznie; uchwalono wypłacenie z kasy szkolnej 440 marek na fundusz Komitetu Inwalidom Polskim i 1 000 marek rocznie na zeszyty dla najuboższej dziatwy szkolnej.

### 30 stycznia

Wolny od nauki, cała szkoła brała udział w nabożeństwie żałobnym za zmarłego Ojca św. Benedykta XV. Sztandar szkolny wywiesiłem opuszczony do pół masztu.

### 8 lutego

\* Odbył lekarz powiatowy wizytację budynków szkolnych i dzieci. 4 dzieci było chore na egipskie zapalenia oczu.

\* Zepsucie szerzy się coraz

bardziej, właśnie partyjności bezprzykładnej także. Z paskarstwa i nadużyć nawet „żelazną miotłą” oczyścić kraj nikt nie umie.

### 16 lutego

Objął Antoni Tabkowski z Tarnowa jedną z tutejszych posad nauczycielskich.

### 27 lutego

Obchodziliśmy uroczyste 100-letnią rocznicę urodzin Teofila Lenartowicza w IV i III klasie, a dzień przedtem w kole śpiewackim „Cecylja”. Czworodzieci wygłosili wiersze Lenartowicza: „Marzenie dziewczęcia”, „Moje bogactwo”, „Dziewczyna wiejska” i „Rosta kalina”; kierownik szkoły zaś wykład o tym „lirniku mazowieckim”. Udział publiczności kiełczewskiej był tylko mierny.

### 1 marca

Nauczyciel Wojciechowski przeniesiony na posadę do Łuszkowa. Pomiędzy dziećmi, także szkolnemi, wzrasta bardzo lenistwo, nieposłuszeństwo, krnąbrność. Kij wypędzony urzędowo ze szkoły przydałby się tu w nadzwyczajnych przypadkach bardzo. Autorytet nauczycielski, przedewszystkiem nauczycielek, cierpi bardzo!

### 1 kwietnia

Siła pomocnicza Janina Ładyżyńska z Małopolski objęła II klasę.

### 3 kwietnia

Rekolekcje dla dzieci szkół powszechnych. II, III i IV klasy mają do 5 kwietnia wolne od nauki.

### 11 kwietnia

\* Z powstaniem Państwa Polskiego zaszły w szkolnictwie naszym różne i wielkiej doniosłości zmiany, które wywierają swoje wpływy na życie społeczne. Za czasów rządów niemieckich kończył i rozpoczynał się rok szkolny 1 kwietnia. Termin ten uległ zmianie: rok szkolny kończy się teraz przed, a rozpoczyna po wielkich wakacjach. Społeczeństwo domaga się na 1 kwietnia i 1 lipca, nawet każdego czasu zwolnienia dzieci ze szkoły z twierdzeniem, że ukończyły w międzyczasie 14 rok życia. Dlatego zwolniono przedwcześnie 7 dzieci z IV, a 1 z III klasy. 3 z IV i 1 z III klasy nie zwolniono dla złych obyczajów i postępów. Zwolnienie dzieci w ciągu roku szkolnego pociąga za sobą większe straty naukowe i wielkie niedogodności w klasie.

\* Od Bożego Narodzenia uczymy

podług programów naukowych ministerjalnych.

### 12 kwietnia

Do 24 IV wakacje wielkanocne. Drożyzna coraz okrutniejsza, pensje nauczycielskie nie wystarczają na pokrycie ani 1/3 przedwojennych nauczycielskich potrzeb życiowych.

### 3 maja

Obchód szkolny wspaniały. Tylko 20 gości.

### 20 maja

Urządziliśmy w naszej szkole uroczysty i publiczny obchód poświęcony z jednej strony uczczeniu pamięci tych z naszej emigracji, którzy padli na polu walki zbrojnej o wolność Ojczyzny, z drugiej zaś – oddaniu hołdu i wyrazów wdzięczności tym z naszego wychodźstwa, którzy słowem, czynem i ofiarnością przyczynili się do zaspokojenia najpilniejszych potrzeb kraju. Aby zaś dać żywy dowód pamięci, przygotowaliśmy listy od dzieci do naszych emigrantów z wyrazami bratnich uczuć i wdzięczności z podpisami uczniów.

### 19 czerwca

Wywiesiliśmy sztandar szkolny ku uczczeniu powrotu części Śląska do macierzy Polski, także w klasach opowiedziałem o ważności chwili obecnej.

### 21 czerwca

Zbytne książki, mapy itd. niemieckie odesłałem do Inspektoratu Szkolnego w Kościanie w myśl okólnika Kuratorjum.

### 28 czerwca

Zwolnienie uroczyste 10 dzieci z IV, 1 z III i 2 z II klasy. Przyjęcie 22 nowicjuszków. Wakacje letnie do 2 sierpnia.

### 1 lipca

\* Zebrano w Kiełczewie 8 750 marek na sukienki i ubranka dla biednych dzieci, przystępujących do 1 komunii św.

\* Nauczyciel Tabkowski został zupełnie zwolniony, a nauczycielka Halina Konopińska z Kościana wstąpiła w jego miejsce.

### 15 lipca

Wywiesiliśmy szkolny sztandar z okazji uroczystego obchodu rocznicy Grunwaldzkiej oraz objęcia Górnego Śląska przez Polskę.

### 20 lipca

Od 16 lipca trwają bez przerwy deszcze i wichry. Piękne żniwa są

zagrożone, wicher robi wielkie szkody.

### 28 lipca

Zapisano w Sądzie Powiatowym w Kościanie „Kościańskie Przedsiębiorstwo Przemysłowe S.A.". Przedmiotem przedsiębiorstwa jest eksploatawanie gór kiełczewskich, jako też zakładanie różnych fabryk i plantacji.

### 8 sierpnia

\* Pomagali kilka dni z ochotą gospodarze i robotnicy z Kiełczewa żniwować na okolicznych majątkach, gdyż tam wybuchł strajk robotników rolnych z powodu niedostatecznych zarobków, prowadzony z wielką zaciętością, chociaż mają w porównaniu do nauczycieli wiele wyższe dochody.

\* Drożyzna okropna. Między dochodami a drożyzną zachodzi stosunek odwrotnie proporcjonalny – łatwy do wyliczenia, trudniejszy do przeżycia!...

### 1 września

\* Siła pomocnicza Ładyżyńska została powołana do szkoły w Racocie. Mamy znów - jak bardzo często za polskich czasów - 4 klasy i 3 siły nauczycielskie.

\* Okres Siedmiu Braci Śpiących skończył się po siedmiotygodniowym trwaniu pozostawiając po sobie pamiętkę ciągłych deszczów. Z tych 49 dni mieliśmy 34 obfitujące w deszcze, a tylko 15 dni słonecznych. Ciągłe deszcze zniszczyły najmniej trzecią część dobrze, nawet bardzo dobrze zapowiadających się żniw. Zboże z pola sprzątno „pod ukradkiem”. Na mokrych ziemiach ziemniaki gniją, lecz jest ich bardzo wiele.

\* A drożyzna szaleje dalej! Człowiek ucziwie zarabiający na życie traci głowę nad rozmyślaniami, w jaki sposób możnaby utrzymać rodzinę i siebie. I tak spoglądając w niepewne jutro, borykając się z drożyzną i biedą, tracą zdrowie i siły liczne zastępy inteligencji zawodowej, nie mając możliwości skromnego nawet bytowania. Zwrotna drożyzna wzmogła się na wszystkich artykułach pierwszej potrzeby, a sumienny pracownik stał się nędzarzem i z niepokojem wielkim patrzymy wszyscy w przyszłość, choć zboża i ziemniaków mamy wiele, to mięso - a przede wszystkim tłuszcz - nie do kupienia...

\* Za przestawienie 2 piecy i 1 piec nowy w lokalach szkolnych zapłaciła gmina szkolna 250 000 marek.

### 1 października

\* Za miesiąc październik 1922 roku odebraliśmy pełne uposażenie: Jezierski, kierownik szkoły 148 960; Mirtyńska, siła pomocnicza 53 996; Konopińska, siła tymczasowa 49 692 marek, które ledwie na wyżywienie wystarczy.

\* Na końcu naszej wsi uruchomiono parową garbarnię skór.

\* Kradzieże się i w Kiełczewie strasznie mnożą.

### 14 października

\* Miał w lokalu szkolnym Bernard Ksoll, Górnoślązak [z Królewskiej Huty] i uczestnik 3 powstań śląskich wykład na temat „Walka o Górny Śląsk”. Tylko 72 uczestników zaszczyściło go.

### 18 października

\* Była cała szkoła na przedstawieniu patryjotycznym w kino kościańskim od 11 - 13 godz.

### 4 listopada

\* Zwiedził pan wojewoda poznański Witold Celichowski i pan starosta kościański Wacław Cegiełka tutejszy lokal wyborczy do Sejmu i Senatu, znajdujący się w II klasie. Przewodniczącym wyborów był kierownik szkoły tutejszej.

Wybory odbyły się do Sejmu 5, a do Senatu - 12 listopada i były bardzo znamienne. Z zapisanych w liście wyborczej 496 głosowało w Kiełczewie do Sejmu 451; na 388 do Senatu - 355. Wogóle oddano w tutejszym obwodzie IV Kiełczewo, do którego należało Kiełczewo, Kurzagóra, Gurostwo, Pianowo i Lubosz Nowy z zapisanych wyborców 1036 - 920 do Sejmu, a 777 - 700 do Senatu. To odebrali: Witosowcy do Sejmu 49, do Senatu 28; Narodowa Partia Robotnicza [odpowiednio] 66 i 32; Chrześcijański Związek Jedności Narodowej 768 i 611; Blok Mniejszości Narodowych 34 i 27; reszta głosów nieważne.

### 29 listopada

Rocznica powstania listopadowego, w klasach uczciliśmy bohaterów tych walk.

### 6 grudnia

Pomiędzy dziećmi panowała w okresie czterotygodniowym grypa. Często połowę lub trzecią część dzieci brakowało w szkole.

### 16 grudnia

Wstępuje kandydat stanu nauczycielskiego Henryk Augustynowicz w

grono nauczycielskie.

### 20 grudnia

\* Wywiesiłem flagę szkolną, opuszczoną na znak żałoby po ś.p. prezydencie Rzeczypospolitej Polskiej Gabrielu Narutowiczu i wzięliśmy z dziećmi udział w nabożeństwie za spokój duszy jego. 16 grudnia nowo wybrany prezydent padł ugodzony ręką mordercy. Ból, groza i oburzenie przejmują każdego. Zgromadzenie Narodowe wybrało pana Stanisława Wojciechowskiego prezydentem RP. W swym orędziu do narodu powiedział: „Proszę Boga Wszechmogącego i Ciebie Narodzie Polski, abyśmy zdołali usunąć z uczuć i czynów naszych zło długoletniej niewoli i wojny, zgodnie z testamentem naszych przodków zbudować jedną niepodzielną Rzeczpospolitą silną miłością i pracą swoich obywateli pod opieką praw przez ustanowionych... W imieniu Rzeczypospolitej wołam do Was Obywatele: Skłońcie się do zgody w sprawie dobra powszechnego”.

\* Rada Szkolna Miejskowa uchwaliła przydzielić rolę przy zabudowaniu obszaru 0,31,30 ha i „na Ostrowiu” obszaru 0,35,70 kierownikowi szkoły i oddać mu stodołę całkowicie. Od 1 października 1922 roku przyznać czynsz dzierżawny z roli „na Grzybowie” obszaru 0,79,20 ha w równych częściach siłom nauczycielskim...

\* Od 14 grudnia rozsprzedaliśmy na Inwalidzki Dom Pracy dla powstańców z 1863 r. 208 nalepek za 41 600 marek.

### 25 grudnia

\* Święta Bożego Narodzenia! Zdaje się jakoby nakaz Chrystusowy miłości Boga i ludzi w Polsce dla wielu, bardzo wielu, już nie istniał! Zamęt w świecie politycznym zupełny! Nadzieje nowego porządku się nie ziściły! Wzrosła nienawiść. Naród nasz rozdarty na walczące z sobą obozy! Położenie gospodarcze coraz trudniejsze! Niebezpieczeństwa wewnątrz i zewnątrz! Drożyzna szaleje – lud w biedzie i nędzy! Wysadki wzrastają! Dochody maleją! Marka nasza spada a spada! Naród stacza walkę o swój byt! Urzędnicy i nauczyciele upadają pod okrutnym ciężarem drożyzny i niedomagań gospodarczych. Miejmy mocną nadzieję, że w nowym roku da Bóg nam zwyciężyć, zakończy nam nasze cierpienia, otrze łzy sponiewieranym dzieciom Polski. (cdn)

Opr. **JERZY ZIELONKA**



*Ewa Nowakowska niechętnie wraca do obozowych przeżyć. Fot. Teresa Mastowska*

**- Miałam pięć, a brat sześć lat, kiedy aresztowało nas gestapo i umieściło w obozie koncentracyjnym w Łodzi. Nasi rodzice już nie żyli, ojca zamordowało NKWD w Katyniu, matkę stracono w Forcie VII w Poznaniu – mówi Ewa Nowakowska.**

W sierpniu 1939 r. podporucznik rezerwy Edmund Gauss został zmobilizowany do 1 Batalionu Balonowego. Pożegnał się z żoną Marią, ucałował dzieci – Andrzeja i Ewę. W nieznanych okolicznościach aresztowany przez Sowieców, przetrzymywany w obozie w Kozielsku, zginął zamordowany w Katyniu.

#### Witaszkowcy

Maria, która została z dwójką małych dzieci, zatrudniła się jako pomoc biurowa w Arbeitsamcie w Poznaniu. Idealne zajęcie przy konspiracyjnej działalności, w którą szybko się włączyła. Działała w sekcji legalizacyjnej Wielkopolskiego Kierownictwa Związku Odwetu. Historyk Marian Woźniak wylicza jej zadania: „Zdobywała dokumenty legalizacyjne, zwłaszcza zaświadczenia o rejestracji w Urzędzie Pracy, książki pracy itp.”

W rocznicę odzyskania niepodległości 11 listopada 1940 r. została zaprzysiężona przez por. Czesława Surmę. Wybrała konspiracyjny pseudonim „Edmund”. Jej córka Ewa Nowakowska przypuszcza:

– Chyba przeczuwała, że ojciec nie żyje, przyjęła imię ku jego czci. Nie mam do niej żalu, że zaangażowała się, chociaż po aresztowaniu ojca mieliśmy tylko ją. Wtedy patriotyzm rozumiano tak: ojczyzna w potrzebie, więc trzeba podjąć walkę. Długo mieszkaliśmy u jej matki - babci Kuleszowej, ale chyba domyślała się, że coś jest nie tak, że ją śledzą, bo przeniosła się z nami na Górną Wildę. Rano wychodziła do pracy, nas zostawiała pod opieką gospośi. Pamiętam dzień, kiedy zabrało ją gestapo. Nie wiedziałam, że tracę ją na zawsze. Babcia zabierała nas na pole koło Fortu VII, gdzie pracowali więźniowie. Widziałam mamę w chusteczce na głowie, zobaczyła nas i pokiwała z daleka. Wtedy widziałam ją ostatni raz...

Wiosną 1942 r. gestapo wpadło na trop poznańskich ogniw Związku Odwetu. Nastąpiła fala aresztowań, zatrzymano około 30 osób, w tym doktora Witaszka,

szefa pionu technologiczno-produkcyjnego. Konspiratorów poddano ciężkiemu śledztwu, z biciem i torturami. Policyjny Sąd Doraźny wydał wyroki śmierci. 8 stycznia 1943 roku stracono m.in. Franciszka Witaszka, Marię Gauss i jej przyrodniego brata Henryka Kuleszę. Chłopiec miał zaledwie 17 lat. Podobno Maria Gauss miała głośno przekląć gestapowca nadzorującego egzekucję. Dwa miesiące później otrzymał list z wiadomością, że jego córka nagle zmarła. Wobec rodzin Niemcy zastosowali odpowiedzialność zbiorową. Wkrótce aresztowali matkę i siostrę Marii i wtrącono do obozu w Auschwitz.

- **Spały na jednej pryczy, pewnej nocy babcia Kuleszowa zasnęła i więcej się nie obudziła. Dziadek Kulesza uniknął aresztowania, ale musiał ukrywać się przez całą okupację. Pędził bimber, dzięki temu miał pieniądze i wysyłał paczki nam do Łodzi i do Auschwitz...**

#### Greiser nie pomógł

Po uwięzieniu Marii Gauss i jej rodziny, rodzeństwem zaopiekowała się babcia Leokadia - matka ich ojca. Ale represje dotknęły także dzieci.

- **Pamiętam dzień, kiedy po nas przyszli. Z babcią wróciliśmy właśnie z lunaparku, w domu już na nas czekali. Miałam pięć lat, brat był o rok starszy. Babcia uprosiła, żeby nam pozwolili zostać jeszcze dzień. Może starała się wymyślić jakiś ratunek, czy ukryć, ale nie udało się. Nazajutrz z ciężkim sercem odprowadziła nas do Domu Żołnierza – opowiada Ewa Nowakowska. – Były tam już inne dzieci. Wszystkich ważono i mierzono, pewnie żeby ocenić czy nadajemy się do germanizacji, a potem wsadzono do pociągu i wysadzono w obozie koncentracyjnym w Łodzi. Byłam mała, nie zdawałam sobie sprawy, co się dzieje, ale mój starszy brat wiedział i bardzo płakał...**

Ewę i Andrzeja oddzielono od bliskich i jako „dzieci polskich terrorystów” umieszczono w obozie przy ulicy Przemysłowej w Łodzi. Zostali sami w obcym, wrogim świecie. Zawsze razem, nierozłączni, spali na jednej pryczy w sali dla dzieci. W Łodzi może nie cierpieli tak bardzo głodu i nie byli bici, za to dokuczali im przenikające do szpiku kości zimno. W Poznaniu babcia Leokadia zamartwiająca się o los wnuków, szukała ratunku.



*Ewa z mamą.*

*Fot. (2x) ze zbiorów Ewy Nowakowskiej*

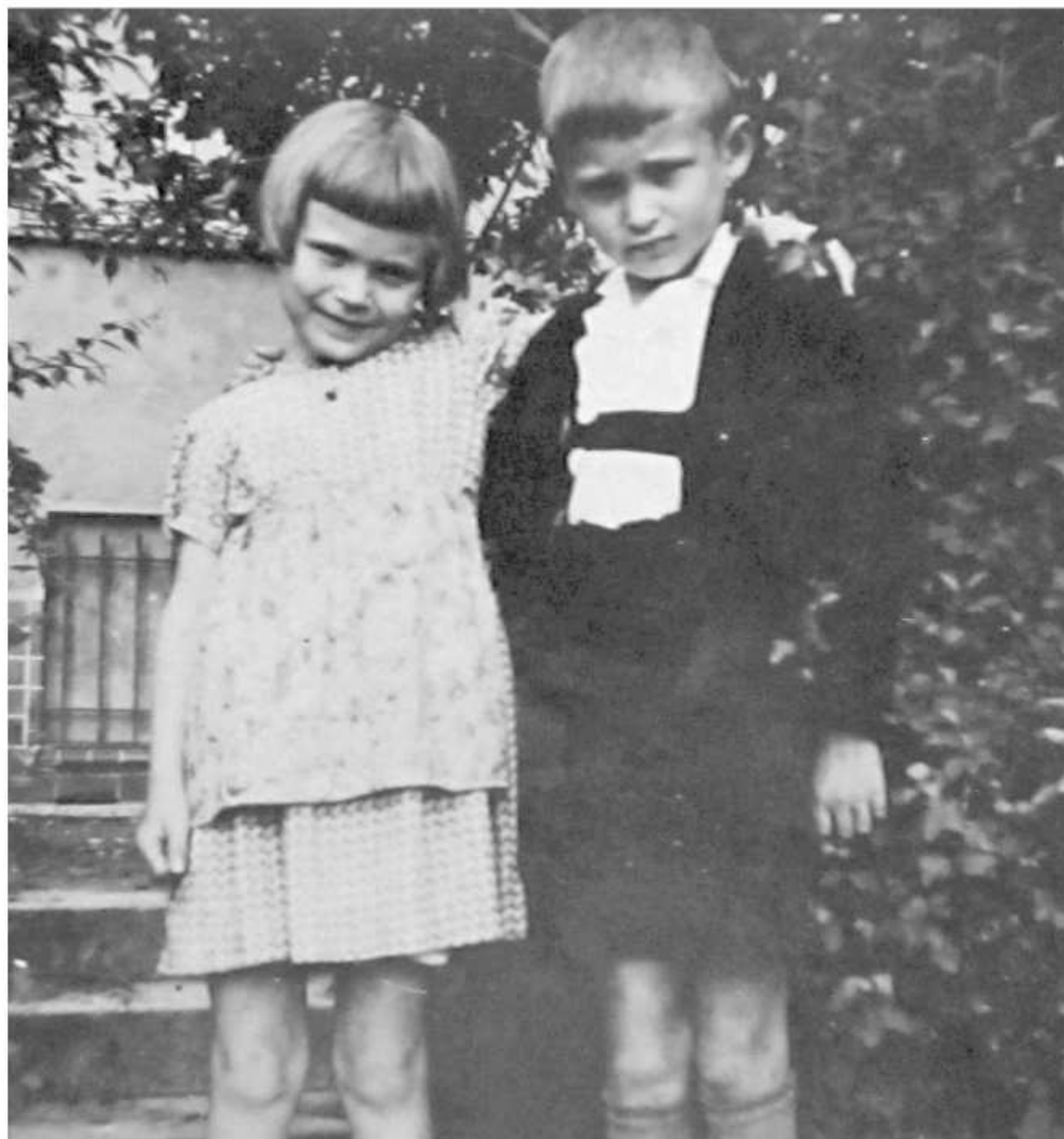
- **Urodziła się w Środzie Wielkopolskiej, chodziła do jednej klasy z Arturem Greiserem, siedział za nią w ławce i ciągnął za warkocze. Napisała do niego, wówczas namiestnika Kraju Warty, prosząc o uwolnienie wnuków. Czy list do niego dotarł osobiście, nie wiem, ale**

**otrzymała odpowiedź, że jeśli jeszcze raz napisze, znajdzie się w tym samym miejscu, gdzie dzieci...**

Ewa zachorowała na tzw. ropowicę, ciało miała całe we wrzodach. Leżała w lazarecie.

- **Z pobliskiego getta żydowskiego przychodził wysoki, szczupły doktor. W garści trzymał przemycone lekarstwa. Potrząsał dłońmi, a tabletki cicho turkotały, dawał mi je i kładł palec na ustach, żebym nikomu nie mówiła. Przeżył wojnę, mieszkał w Czechosłowacji. Chciałam się z nim spotkać, podziękować, ale za późno się dowiedziałam. Uratował mi życie...**

Najmłodsze dzieci były lepiej traktowane od starszych, nie musiały pracować, dostawały trochę lepsze racje żywnościowe. Cóż z tego, kiedy tak bardzo tęskniły za rodzicami, bliskimi, żyły w ciągłym strachu, chorowały. W obozie nie było przyjaźni między małymi więźniami, już o to zadbali „wychowawcy”, którymi przeważnie byli volksdeutsche. Pobyt w obozie położył się cieniem na życiu



*Rodzeństwo krótko po wyzwoleniu z obozu*



małych więźniów. Na wolności z trudem wracały do normalnego życia, cierpiały na syndrom poobozowy.

**- Już po wojnie miałam problemy z zawieraniem znajomości, czułam się jakaś inna, obca. W obozie przebywała starsza dziewczyna, potwornie wychudzona, sam szkielet, nawet zimą chodziła nago. Bardzo się jej bałam. Którejś nocy próbowała ściągnąć ze mnie koce, zaczęłam krzyczeć, więc chciała mnie udusić poduszką. Ona wciąż do mnie wraca w snach. Scenariusz zawsze ten sam; otwierają się drzwi, wchodzi wysoka postać, podchodzi do mnie i zaczyna dusić, próbuję krzyczeć, ale nie mogę, wreszcie budzę się złana potem. Nie przeżyła obozu. W styczniu wyrzucano ją na zewnątrz baraku i polewano wodą. Zamarzła...**

#### Marzenie dziewczynki

Latem 1944 r. rodzeństwo przeniesiono do obozu w Potulicach koło Nakła. Warunki były dużo gorsze, niż w Łodzi, panował przeraźliwy głód. Dzieciom raz dziennie wydawano kawałek suchego chleba i coś do picia. Ewa dzieliła go na kilka części, żeby starczył na cały dzień. Najpierw chowała na pryczy, potem nosiła przy sobie w kieszeni, bo wygłodzone dzieci wykraadały sobie jedzenie. Obóz urządzono w lesie, ogrodzono wysokim płotem.

**- Lubiałam siadać przed tym płotem, za nim po usypanym wale chodził wartownik, a pod koniec wojny chłopak z Hitlerjugend. Siedziałam i marzyłam: jak wyjdę na wolność, wejdę na wysoką górę, z której będę spoglądać na cały świat. Potem o tym zapomniałam. W podróż poślubną pojechałam z mężem do Zakopanego. Tam przypomniałam sobie o marzeniu małej dziewczynki...**

Potulice to była umieralnia. Wiele dzieci zmarło z chorób i niedożywienia. Ewa cierpiała na ropne zapalenie ucha, jej ciało znowu pokryło się wrzodami, brat zapadł na dyfteryt. W tym piekle znowu mieli szczęście. Uratowała ich polska lekarka, która w najcięższym okresie zatrzymała w obozowym szpitalu. Ewa żałuje, że jej też nie odszukała, nie podziękowała za ocalenie, ale po wojnie nie chciała wracać do obozowych przeżyć, usiłowała wymazać je z pamięci. Bardzo długo o tym nie rozmawiała. Dopiero kilka lat temu na spotkaniu z niemiecką młodzieżą w Rugii przełamała się.

W Potulicach rodzeństwo nadal trzymało się razem, starszy zaledwie o rok Andrzej opiekował się siostrzyczką. Na pewien czas zostali rozłączeni.

**- Andrzej zginął mi z pola widzenia, ale nie pamiętałam dlaczego, dopiero po latach dowiedziałam się, że zabrał go do siebie niemiecki gospodarz. Tym szybciej się go pozbył, bo popsuł rolniczą maszynę, specjalnie czegoś nasypał. Ten mały sabotaż mógł się dla niego źle skończyć, ale Niemiec tylko odesłał brata do obozu...**

#### Smak chleba

W styczniu 1945 r. naziści uciekli. Mali więźniowie wreszcie byli wolni.

**- Byliśmy wolni, ale wciąż pozostawaliśmy w obozie, czekając aż nas ktoś zabierze. Z koleżanką Zosią Koralewską, z którą po wojnie długo utrzymywałam kontakt, szłyśmy do Potulic i siadałyśmy na krawężniku, a przechodzący tamtędy niemieccy jeńcy musieli przed nami czapkować. Tak nam się to spodobało, że chodziłyśmy tam codziennie. Brałyśmy rewanż za wcześniejsze cierpienia i upokorzenia...**

Pracownicy Polskiego Czerwonego Krzyża odnaleźli rodzeństwo i zabrali do ciotki do Torunia. Ewa przez okno oglądała wojskową defiladę. Dobrze wiedziała, że ojciec nie żyje, ale wyobrażała sobie go idącego w defiladzie.

**- Obóz pozostawił ogromne ślady w mojej psychice, pamiętam w lutym 1945 roku, kiedy ciocia przyniosła chleb. To był komyśniak, cały bochenek. Patrzyliśmy w niego jak urzeczeni, jak na coś niezwykłego, dotykaliśmy czy aby na pewno prawdziwy. Ciocia wytopiła słoninę, z namaszczeniem maczaliśmy w niej chleb i jedliśmy. Cudowny, niezapomniany smak. Kiedy wszystkiego brakowało w sklepach, wszędzie stały kolejki, w zamrażarce zawsze trzymałam kilka bochenków chleba, bo wiem, że jeśli mam chleb, to nigdy nie będę głodna...**

TERESA MASŁOWSKA

**\* Obóz prewencyjny dla młodych Polaków policji bezpieczeństwa w Łodzi** utworzono z rozkazu Heinricha Himmlera. Urządzono go na terenie żydowskiego getta. Komendantem obozu był SS-Sturmbannführer Karl Ehrlich. Załoga składała się z gestapowców i cywilnych pracowni-

ków – najczęściej volksdeutschów. Pierwsze dziecięce transporty przywieziono w grudniu 1942 r. Do obozu zsyłano dzieci z Wielkopolski, Śląska, Pomorza i Mazowsza. Trafiały tam dzieci, których rodzice działali w konspiracji, przebywali w obozach koncentracyjnych, „dzieci Zamojszczyzny” i bezdomne. Obóz dzielił się na część dla chłopców w wieku od 8 lat do 16, drugą dla dziewcząt oraz dla małych dzieci cztero i pięcioletnich, a nawet dwuletnich. Młodocianych więźniów zmuszano do ciężkiej całodziennej pracy. Chłopcy wyplatali buty ze słomy, koszyki wiklinowe, paski do masek gazowych itd. Dziewczęta pomagały w kuchni, pralni, zakładzie krawieckim, ogrodzie. Historycy nie są zgodni co do liczby małych więźniów, którzy przeszli przez obóz, ponieważ nie zachowała się obozowa dokumentacja. Szacuje się, że było ich między 5 a 10 tys. W momencie wyzwolenia 19 stycznia 1945 r. w obozie przebywało około 900 dzieci. Po wojnie osądzono zaledwie kilku z nadzorców. Najbardziej bestialskich – Edwarda Augusta i Sydonię Bayer – skazano na śmierć w 1945 r. Znana z okrucieństwa Genowefa Pohl otrzymała wyrok 25 lat więzienia. Dzisiaj w miejscu dawnego obozu stoi Pomnik Pękniętego Serca, przypominający, że to miejsce było piekłem dla wielu polskich dzieci. (TM. Opracowano na podstawie encyklopedii Wikipedia)

**Niemiecki obóz przesiedleńczy i pracy w Potulicach** zbudowano w 1941 r. Początkowo działał jako podobóz Stutthofu, rok później stał się samodzielnym obozem. Do Potulic kierowano polskie rodziny, których gospodarstwa zajęli niemieccy osadnicy, działacze konspiracyjnych, Polaków, którzy odmówili podpisania volkslisty oraz polskie dzieci i młodzież. Więźniów przetrzymywano w pałacu Potulickich i budynkach klasztornych, dzieci przebywały osobno w odgrodzonych barakach. Obóz był jednym z największych niemieckich obozów eksterminacyjnych dla dzieci i młodzieży. Życie straciło tam ok. 800 dzieci. Umierały z głodu, ciężkiej pracy i chorób. Przed wkroczeniem Armii Czerwonej władze obozowe nakazały zniszczenie dokumentacji, aby zatrzeć ślady zbrodniczej działalności. Część fotografii uratował więzień Kazimierz Koperski. Na terenie dawnego obozu postawiono pomnik ku czci ofiar. (TM. Opracowano na podstawie encyklopedii Wikipedia)

## Theodor Müller



# Wspomnienie lat dziecięcych spędzonych w Poznaniu (2)

Babcia z Eriką i Theodorem w 1935 r.

Fot. ze zbiorów tłumacza

Kiedy, chyba czternastego dnia, wkraczało do Poznania niemieckie wojsko, wielu ludzi wyległo na ulice. Także nasi rodzice i my, dzieci, staliśmy oczekując na ulicy Dąbrowskiego. Lecz im dłużej czekaliśmy, tym bardziej opadałem z sił, nagle dostałem wysokiej gorączki, tak że matka położyła mnie do łóżka. Jak wkrótce miało się okazać, zachorowałem na szkarlatynę, na którą już rok wcześniej chorowała siostra, babcia oraz jedna ze służących. Matka opowiedziała mi wieczorem o wkraczaniu wojska. Była rozczarowana, gdyż Niemcy żołnierze karabiny i pistolety maszynowe mieli wymierzone w spokojnych ludzi, stojących na chodnikach. Jeśli nawet poznańscy Niemcy przejawiali pewien entuzjazm, to wkrótce pojawiło się u nich otrzeźwienie.

W naszym sąsiedztwie zabierano Polakom mieszkania, w nocy lub nad ranem wywożono ich do obozów, a do mieszkań wprowadza-

li się nowi lokatorzy przybywający z Rzeszy. Wśród nich byli także ludzie gotowi do udzielenia pomocy, którzy owo brutalne wygnanie uważali za niesprawiedliwe. I tak, ojciec nasz zawarł znajomość z policjantem, który łagodził wykonanie różnych rozporządzeń, jeśli pozwalały mu na to jego kompetencje. Dogadał się on między innymi z oficerem Luftwaffe, którego zakwaterowano nad nami w mieszkaniu rodziny Macherów. Pan Macher był właścicielem fabryki, widocznej od nas z najwyższego piętra. Oficer przyrzekł interweniować, gdyby mieszkanie chciano zarekwirować. Wychodząc na nocną służbę, zostawiał w przedpokoju mundur, aby zademonstrować swoją obecność. Natomiast rodzice słysząc, że niemiecki żołnierz zabrał na ulicy panu Macherowi złoty zegarek, poczuli się bardzo nieswojo, zaś pan Macher tak się tym przejął, że doznał udaru mózgu. Dyrektor szpitala diakonisek, doktor Weise, przyjął go na leczenie na

prośbę moich rodziców. Dzięki temu także pan Macher uniknął obozu, lecz rodzina wkrótce musiała opuścić mieszkanie. Zostawiono jej jednak trochę czasu, więc meble oraz sprzęty zniesiono do dwóch garaży, pustych, gdyż zaraz po zajęciu miasta oba auta, zarówno pana Machera jak i ojca, zostały zarekwirowane. Meble pozostawione w garażu i na strychu stały tam prawie dwa lata. W naszym mieszkaniu przechowywaliśmy, po części pod łózkami, po części pod naszymi dywanami, dywany Macherów. Rodzice żyli w ciągłej obawie, że ktoś ich zadenuncjuje, gdyż ukrywanie polskiej własności przed niemieckimi władzami było zagrożone surową karą. Obawialiśmy się przede wszystkim polskiej dozorczyń, która odgrywała dwuznaczną rolę zarówno w czasie niemieckiej okupacji, jak i w 1945 roku po wkroczeniu Rosjan, o czym dowiedzieliśmy się później. Babcia przekupywała ją żywnością, którą mieliśmy jeszcze sprzed wojny.

Dwaj znani polscy kupcy, właściciele hurtowni artykułów fryzjerskich, zwrócili się do mego ojca z propozycją, aby zechciał przejąć ich firmę, ponieważ grozi im wywłaszczenie. Od tej chwili firma ta działała pod ojcowskim szyldem, chociaż ojciec nie partycypował w zyskach. Obaj właściciele mogli nadal pracować w swoim przedsiębiorstwie, mimo że wciąż byli zagrożeni skierowaniem do pracy w fabryce amunicji. Kuzynka będąca kierowniczką działu w Urzędzie Pracy, zapobiegała wystawianym dla nich wezwaniom. Kiedy ogłoszono stan „wojny totalnej” i musieli zakończyć działalność jako samodzielni handlowcy, kuzynka załatwiła im jednak zatrudnienie, jednemu w drogerii, drugiemu w jakimś małym przedsiębiorstwie.

Któregoś dnia zjawił się u nas oficer Reichsarbeitsdienst, Służby Pracy Rzeszy nazwiskiem Kempf, który oświadczył ojcu, że wszystkie domy na ulicy Botanicznej zostają zarekwirowane na potrzeby Służby Pracy i że w krótkim czasie także i my mamy opuścić mieszkanie. W tym momencie znajdowałem się właśnie w biurze ojca, więc spojrzawszy na mnie Kempf spytał głośno: „A ty, mówisz w ogóle po niemiecku?”. Zmieszany obraźliwym pytaniem wybąkałem jedyne słowo „tak”. Ponieważ ojciec zrozumiał, do czego Kempf zmierzał, zapewne dał mu solidną naukę. Rozmowa zakończyła się zapewnieniem ojca, że mieszkanie Kempf dostanie tylko po jego trupie. To oświadczenie Kempf widocznie zrozumiał. Wraz z rodziną wprowadził się potem piętro wyżej, zaś stosunki pomiędzy rodzicami a nimi stopniowo się normalizowały, na czym moim rodzicom bardzo zależało ze względu na przechowywane meble rodziny Macherów, o czym Kempfowie wiedzieli, lecz tego nie zdradzili. Z rosyjskiego frontu przysłał mi pocztówkę, co przyjąłem za przejaw życzliwości. Kiedy musieliśmy uciekać, Kempfowie zaproponowali nam, abyśmy na początek zatrzymali się w Berlinie, gdzie w ich domu znajdziemy schronienie. Skorzystaliśmy z tego

zaproszenia, lecz codzienne bombardowanie i coraz bliższy front spowodowały, że po dwóch tygodniach postanowiliśmy wyjechać do Austrii, gdzie zamieszkaliśmy przejściowo u znajomego pastora w częściowo uszkodzonej od bomb plebanii. Po wojnie utrzymywaliśmy kontakt z rodziną Kempfów, która przeprowadziła się do Kolonii. Wzruszył nas list pana Kempfa do rodziców, w którym dosłownie pisał: „Co też pomyśleliście sobie o mnie, gdy się pierwszy raz zjawiłem w waszym mieszkaniu?”. Kempf, podobnie jak wielu innych, skądinąd porządnym, lecz bezkrytycznym i nie posiadającym własnego zdania ludzi, uległ wpływom narodowosocjalistycznej ideologii.

Ojcu zabrano hurtownię, trzeba było również zrezygnować z ukochanego ogrodu, gdyż podobno teren ten przeznaczono dla szkoły ogrodniczej. Widzieliśmy jak karczowano drzewa, powyrywano krzewy i powstało puste pole, na którym posadzono pomidory i kapustę, widocznie ważniejsze.

Pewnego dnia zaarrestowano bogatego polskiego kupca, zaprzyjaźnionego z ojcem, i osadzono go w obozie pod Poznaniem. Kilku niemieckich przyjaciół, wśród nich także mój ojciec, wybrało się do obozu, aby porozmawiać w sprawie uwolnienia aresztowanego, lecz odprawiono ich z cynicznym stwierdzeniem: „Dla was również mamy tutaj miejsce”. Inny przyjaciel rzekł do ojca: „To przecież nie są ci Niemcy, jakich przedtem znałem”.

Z nastaniem mroku zjawiali się u nas znajomi Polacy i opowiadali o nieprawościach Niemców. Niektórzy przynosili co cenniejsze rzeczy, byśmy je przechowali. W naszym mieszkaniu ukryte znajdowały się wszędzie kartony i walizy. Także później zarówno babcia, jak i matka wspierały potrzebujących przyjaciół żywnością i odzieżą, gdy tylko się o to zwracali.

Bliska przyjaźń łączyła moją matkę z Hanką, bratanicą Macherów. Hanka była inżynierem-ogrodnikiem w szkole ogrodniczej i mieszkała w pobliżu, często nas ku

naszej radości odwiedzając, gdyż nauczyliśmy się od niej gry w karty, a także innych zabaw. Pokazała nam również zbiór motyli w szkole ogrodniczej. Egzotyczne egzemplarze i ich różnorodność bardzo nam się podobały. W czasie wojny uległa zatruciu i przez dłuższy czas leżała w szpitalu, gdzie odwiedzała ją nasza matka. Po wojnie umarła z powodu zatrucia środkami do oprysków, jak się później dowiedzieliśmy. Była nadzwyczaj miłym człowiekiem, którego nie zapomniemy. Ona i jej przyjaciółka przekazywały nam najnowsze i prawdziwe wiadomości o sytuacji na frontach, zasłyszane w radiu BBC, później natomiast, w styczniu 1945 roku, namawiały babcię i matkę, aby nie uciekać, lecz pozostać w Poznaniu, a one nas ukryją. Było jednak iluzją wierzyć, że ich dobre chęci uchronią nas przed własnymi rodakami, toteż dwudziestego stycznia 1945 roku postanowiliśmy uciekać, wsiadając do pociągu na pierwszym peronie poznańskiego dworca głównego.

Przed wybuchem wojny z Rosją ojca powołano do Wehrmachtu, gdzie służył w 6 Armii, która dotarła do Stalingradu i tam w 1942 roku została rozgromiona. On sam miał to szczęście, że go z tej armii wykluczono, gdyż ojciec podpisał petycję domagającą się ludzkiego traktowania ludności cywilnej na zdobytych terenach. Musiał się teraz zameldować u doktora Spitzera, szefa Służby Bezpieczeństwa Rzeszy w Poznaniu, który w obecności ojca podał wniesioną na niego skargę i wrzucił ją do kosza. W nawiązanej rozmowie ojciec zapytał go, dlaczego na tym stanowisku pozostaje. Doktor Spitzer odparł, że pełniąc tę funkcję usiłuje zapobiec większym szkodom, bowiem w rzeczywistości ma on inne zapatrywania. Lecz po zdobyciu przez Rosjan Poznania, Spitzer został zastrzelony przez Polaków pod murem Zamku.

Ojciec został następnie oddelegowany do pełnienia służby w charakterze komisarza do zadań specjalnych (Landkomissar) w administracji na terenie Galicji Wschodniej. Ponieważ mówił biegle po polsku i po ukraińsku i wstawiał

się za miejscową ludnością, wkrótce pozyskał jej zaufanie. Bardzo był dumny z tego, że nie potrzebował korzystać z ochrony osobistej, gdyż przed partyzantami strzegli go Polacy i Ukraińcy. Prowadził natomiast zaciekle boje z tamtejszym szefem Gestapo, któremu powiedział, że o jednego jest tutaj za dużo. Tego nieludzkiego człowieka przeniesiono, zaś był on na tyle bezczelny, że przyszedł się z ojcem pożegnać, lecz ojciec nie podał mu ręki i tylko powiedział, że jego odejście przynosi mu ulgę. Ów przestępca został po wojnie skazany w Augsburgu szesnaście razy na dożywocie. Po zajęciu Galicji Wschodniej przez Rosjan ojca znów wcielono do Wehrmachtu, on zaś przywiązywał wagę do powiedzenia, że go „zabrano”, tym razem do Abwehry, wywiadu wojskowego kierowanego przez Canarisa, gdzie, jak wiadomo, powstała opozycja przeciwko reżimowi nazistowskiemu. Natomiast kiedy wywiad Canarisa zaczęło kontrolować SS, ojciec przeszedł do organizacji Fremde Heere Ost, Obce Wojska Wschód, która wchodziła w struktury Wehrmachtu, a kierował nią Adolf Gehlen. Ojcu powierzono nawiązywanie kontaktów z ukraińskimi i polskimi partyzantami. W porozumieniu z nimi organizacja ta zdołała uwolnić polskich i ukraińskich więźniów z niemieckich obozów koncentracyjnych. I tak na przykład z obozu w pobliżu Linzu wydostano żonę polskiego ministra spraw zagranicznych rządu emigracyjnego w Londynie. Oczywiście liczba uratowanych, w porównaniu z ilością więźniów w obozach, była znikoma.

W marcu 1945 roku znaleźliśmy schronienie w odległej wsi w Dolnej Bawarii. Wielką była nasza radość i wdzięczność, kiedy to w Zielone Świątki tego roku trafił do nas ojciec. Pewien Ukrainiec poznał go na ulicy pobliskiego miasta i dał mu nasz adres.

\*

Wizyta mojej siostry i mnie w maju 1999 roku w Poznaniu, po pięćdziesięciu czterech latach, stanowiła dla nas ogromne przeży-

cie. Już samo przybycie na ten sam peron pierwszy, od którego zaczynała się nasza ucieczka, głęboko nas poruszyło. Zastaliśmy miasto takim, jak zapamiętaliśmy z okresu międzywojennego, żywotne i wypełnione życiem, uprzejmi i życzliwi ludzie, zadbane domy i ulice, nie pozostało śladu po strasznych zniszczeniach. Dom przy ulicy Botanicznej jest świeżo otynkowany i lśni jak ongiś w spokojnym i szczęśliwym czasie. Mieszczą się w nim dwie firmy. Zdecydowanie urosły lipy, tworząc osłonięty listowiem szpaler. Z zapartym tchem zmierzamy do końca ulicy, do nasypu kolejowego, w którym prześwit tworzy przejście na Sołacz. Ileż to razy w piękne letnie popołudnia chodziliśmy z mamą na lody do kawiarenki w pobliżu stawów. Czas się dla nas zatrzymał, w świadomości odżywają przeżycia, jeszcze raz przeżywamy naszą młodość. Oboje przeżywaliliśmy bardzo głęboko te chwile, gdyż nigdy nie myśleliśmy, że to miasto kiedykolwiek jeszcze zobaczymy. Oto kościół świętego Pawła\* pobudził w nas wiele wspomnień, gdyż co niedzielę bywaliśmy w nim na nabożeństwie dla dzieci u pastora Walloschke, który znał jeszcze naszego dziadka. Kościół wygląda tak jak za naszych dziecięcych lat, poza nowym ołtarzem. Wciąż ktoś odwiedza to miejsce ciszy, przede wszystkim ludzie młodzi, którzy zatrzymują się tu z krótką modlitwą. W ogóle, wokół uniwersytetu roi się od młodych ludzi, których miłe i szczerze twarze radośnie nas nastrajają. Rzucają się w oczy gustowne i eleganckie stroje oraz powściągliwe zachowanie młodzieży. Wszystko przypomina czasy przedwojenne.

A jednak pomiędzy to jak czarna cień wkradły się lata wojny, które chciałoby się chętnie wymazać. Pamiętamy o aroganckich wystąpieniach Niemców w czasie okupacji, o ich pretensjonalnym zachowaniu i głośnej pyszałkowatości. Raziło to nawet nas chociaż byliśmy dziećmi, zatem jak znosili to dorośli, a cóż dopiero mówić o Polakach.

Nowy czas nastał nie tylko we wzajemnych polsko-niemieckich

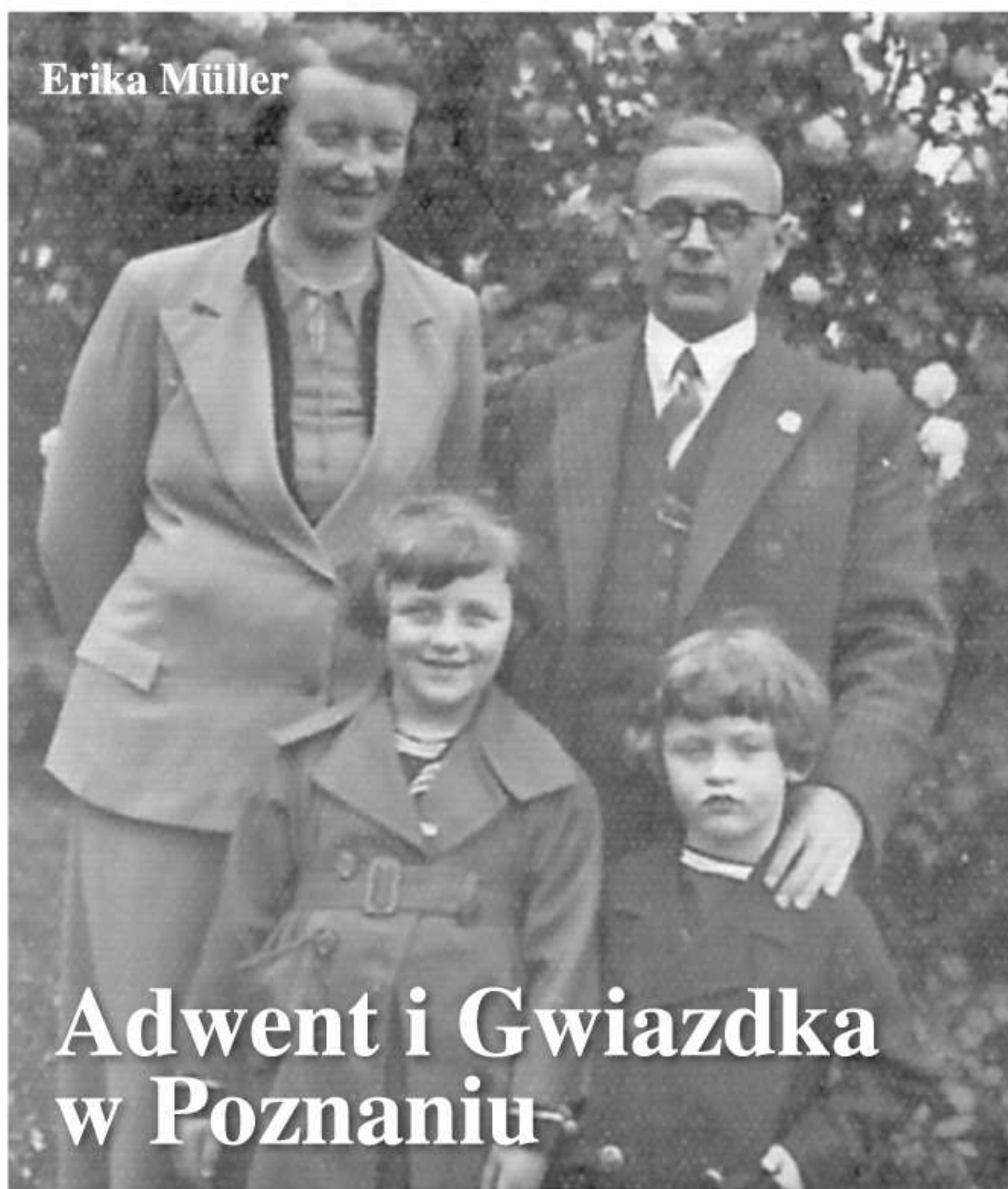
stosunkach. Znow przywołuje się czasy, w których dobrosąsiedzkie współzycie było oczywiste. Koopekuje się obecnie w wielu dziedzinach i utrzymuje kontakty. Sąsiad opowiadał mi, że właśnie wrócił z Poznania, gdzie instalował komputery w filii swojej firmy. Urzekło go piękno tego miasta. Polska literatura wydawana jest w Niemczech w wysokich nakładach i wzbudza duże zainteresowanie. Sami zadzierzgnęliśmy więzy z krajem, w którym urodziliśmy się i w którym spędziliśmy lata dzieciństwa. Najbardziej cenimy dzieła niezapomnianego Andrzeja Szczypiorskiego, który mimo że był więziony w obozie koncentracyjnym w Niemczech, niezmiernie przyczynił się do pojednania Niemców i Polaków. Za podstawową przyczynę wojen dwudziestego wieku uznał on nacjonalizmy. W artykule zatytułowanym *Przeszłości nie można przewyciężyć* napisał on: „Dlatego od tamtych dni przestałem odróżniać narodowości, nie interesuje mnie narodowość człowieka, nie interesuje mnie przeszłość Niemców, Holendrów, Polaków, wiem tylko i tego nie zapomnę, że istnieją ludzie i nie-ludzie. Chcę pozostać z tymi pierwszymi. Często przywołuję w pamięci zdanie skreślone po wojnie przez wybitną polską pisarkę Zofię Nałkowską, że «Ludzie ludziom zgotowali ten los»”.

W zdaniu tym wyraża się nie tylko głębokie przekonanie, lecz stanowi ono również myśl przewodnią w relacjach pomiędzy ludźmi

.(Koniec)

**Z języka niemieckiego  
przełożył  
EUGENIUSZ  
WACHOWIAK**

\*) *Kościół ewangelicko-augsburski pod wezwaniem św. Pawła przy dzisiejszej ulicy Fredry w Poznaniu, od roku 1945 kościół katolicki pod wezwaniem Najświętszego Zbawiciela (przypis tłumacza: E.W.).*



Erika Müller

## Adwent i Gwiazdka w Poznaniu

Rodzina Müllerów w Poznaniu.

Fot. ze zbiorów tłumacza

Szczególnie miłe w okresie adwentowym były dla nas niedzielne popołudnia, gdyż wtedy mieliśmy naszą mamę wyłącznie dla siebie. Siedzieliśmy przy dziecięcym stoliku, na którym stał adwentowy stroik, śpiewaliśmy z mamą kolędy, łupaliśmy orzechy i smakowaliśmy ciasteczka.

Na nasze pytania, co też dostaniemy na Gwiazdkę, babcia miała wciąż tę samą odpowiedź: „dziureczka z kóteczka będzie dla was z pewnością”. Byłam zadowolona z babcinej odpowiedzi, bo wiedziałam, że coś dostanę. Co myślał mój brat, tego nie wiem, lecz jeśli ja byłam zadowolona, to chyba i on także.

W tajemnicy przed nami kupowano choinkę. Drzewko znajdowało się pośród choinek rosnących przed domem i dopiero późnym wieczorem dwudziestego trzeciego grudnia wnoszono je do ojcowskiego biura. Choinka sięgała zwykle aż do sufitu, tak że ojciec zajmujący się jej przystrojeniem posługiwał się w tym celu drabiną. Mama

podawała mu czerwone i białe bombki, a także i takie, które pamiętały jeszcze jej dzieciństwo, prócz tego lametę oraz inne różności w postaci winogron i ptaszków.

Mimo, że powinniśmy już dawno spać, wystawialiśmy w łóżeczkach, wsłuchując się w każdy szmer dobiegający do nas przez korytarz. Około północy choinka została ubrana i tata, mama oraz babcia raczyli się na finiszu kieliszeczkami.

Popołudniu w Wigilię Bożego Narodzenia jechaliśmy do kościoła Świętego Krzyża na pasterkę. Siedzieliśmy najczęściej na prawym balkonie, zaś naprzeciwko znajdowała się fisharmonia, obok której stały dziewczynki i chłopcy z chóru. Z kazania nie rozumieliśmy zbyt wiele, lecz bardzo nam się podobała ewangelia oraz śpiewy, a gdy tylko wróciliśmy do domu, mama wciąż biegła z prezentami do gwiazdkowego pokoju. Niecierpliwie czekaliśmy w kuchni i od czasu do czasu spoglądaliśmy na korytarz, radując się widokiem pasemka lamety lub upuszczo-

nego cukierka na podłodze.

Kiedy wreszcie otwierały się drzwi, mama grała na pianinie, my zaś zachwycaliśmy się choinką z zapalonymi świeczkami, natomiast gdy byliśmy starsi recytowaliśmy wiersze i mówiliśmy z pamięci ewangelie oznajmującą narodziny Jezusa. Wreszcie nadchodził czas na podarunki złożone pod choinką. Byliśmy zawsze mile zaskoczeni, gdyż nie przyszło nam nigdy na myśl, by wyrazić swoje życzenia. A wśród zabawek nie brakowało lalek, wózka i pokoiku dla nich, misiów, zabawek z blachy, drewnianego wózka z konikiem i książek, kiedy już potrafiliśmy czytać. Radość nasza była zawsze ogromna.

Posiłek wigilijny bywał stosunkowo skromny, a stanowił go barszcz po warszawsku, wiedeńskie parówki i sałatka ziemniaczana, deser stanowiły plasterki jabłek. Po wieczerzy każdy otrzymywał talerz gwiazdkowy z ciastem, jabłkami, orzechami i słodyczami.

W obydwu święta jadło się drób albo pieczeń.

W Wielki Piątek obowiązywała cisza i trzeba jej było przestrzegać przy zabawach. Na obiad była kartoflanka albo makaron.

W Wielkanoc najważniejsze było dla nas szukanie jajek i czekoladowych zajaczków w ogrodzie. A to, co znaleźliśmy, pokazywaliśmy rozpromienieni okazującym zdziwienie rodzicom.

Podróżowaliśmy dzięki naszej babci, która do zalecanego jej uzdrowiska obfitującego w jod postanowiła udawać się tylko z ukochanymi wnuczętami. I tak wbrew zdaniu ojca, który uważał, że dzieciom najlepiej jest w domu, w lipcu 1936 roku pojechaliśmy na Przedgórze Karpackie do Zelemianki. Kąpaliśmy się tam w strumyku, chodziliśmy na długie leśne spacerunki i skakaliśmy przez rowy wypełnione jodowaną wodą.

Zabawy. Babcia posiadała z czasów swego dzieciństwa laternę magiczną, więc w zimowe wieczory oglądaliśmy na lnianym ekranie obrazy z kolorowych przeźroczy. Oglądaliśmy na nich zbiór winogron i bawiące się dzieci.

Bardzo cieszyły nas zabawy z chłopcami dozorcami w *klipę* i w *palanta* albo z rówieśnikami z sąsiedztwa w skakanie w *piekło i niebo*, bawiliśmy się też w puszczenie bąka i bieganie za gumową oponą, a kiedy przychodzili znajomi, graliśmy na trawniku w krykieta.

Z języka niemieckiego przełożył  
EUGENIUSZ WACHOWIAK



Stary Cmentarz Katolicki w Kościanie. Od prawej: dr Andrzej Suchcitz, Jerzy Zielonka i Zenon Józwiak. Fot. Teresa Mastowska

- **Generał Anders, który kilka lat spędził w sowieckich więzieniach, dobrze wiedział, czego można się spodziewać po Sowietach i za nic nie chciał dopuścić do sytuacji, żeby te akta wpadły w ręce komunistów i zostały wykorzystane przeciwko jego żołnierzom. Dopiero, kiedy był pewny, że nie ma mowy o oddaniu materiałów w Warszawie, zgodził się na ich przekazanie i gorąco popierał utworzenie instytutu – opowiada o początkach placówki dr Andrzej Suchcitz, dyrektor archiwum Instytutu Polskiego i Muzeum im. gen. Sikorskiego w Londynie.**

**Od wielu lat kieruje pan archiwum Instytutu Polskiego i Muzeum im. generała Sikorskiego w Londynie i zna jego zawartość od podszewki, które zbiory uważa pan za najcenniejsze?**

- Pytanie jest niebezpieczne, dla każdego to może być inny dokument lub zbiór dokumentów. Osobiście mam wielki sentyment do koperty, która przeleżała pół wieku, czekając na odkrycie. Pamiętam, że to były początki archiwum, rozszerzaliśmy inwentarz, opracowywaliśmy rękopisy i maszynopisy. Brałem teczkę za teczką i tworzyłem opisy. Otworzyłem niepozorną

teczkę, w środku była zalakowana koperta z pismem, podpisanym przez generała Berbeckiego w Rumunii w 1939 roku, informującym, że prawo otwarcia koperty posiada tylko szef archiwum. Tak więc, dokument przebył długą drogę z Rumunii na Środkowy Wschód, w końcu do archiwum sił zbrojnych w Londynie, gdzie na niego trafiłem. Otworzyłem kopertę, wyjąłem dokumenty, to były akta Edwarda Śmigłego-Rydza. Ojciec Rydza zmarł, gdy chłopiec miał dwa lata, matka osierociła go, gdy miał 10 lat. Wychowaniem chłopca zajął się dziadek, potem przysięgnęła go rodzina Uraniewiczów. Dokument dotyczył właśnie przejęcia opieki nad wnukiem przez dziadka w Brzeżanach. W teście były także zebrane relacje, wspomnienia dotycząca dzieciństwa Edwarda Śmigłego-Rydza zebrane przez archiwum wojskowe. Na podstawie tych źródeł napisałem artykuł do paryskich „Zeszytów Historycznych”. Dzieciństwo Naczelnego Wodza okrywała tajemnica, znalezione akta rzuciły nań trochę światła, bo wcześniej było wiele wątpliwości i niedopowiedzeń. To odkrycie było dla mnie wielką niespodzianką i przeżyciem, zwłaszcza, że zdarzyło się na początku mojej kariery archiwisty.

**Zbiory archiwum zawierają bezcenne**

**akta Armii Polskiej w Związku Radzieckim, na Wschodzie, 2 Korpusu Polskiego.**

- Archiwum instytutu jest głównym źródłem do dziejów armii Andersa. Posiadamy akta dowództwa korpusu i poszczególnych jednostek, dzienniki działań począwszy od korpusu, przez bataliony, szwadrony, niekiedy nawet na poziomie plutonów. Stanowią one fantastyczny materiał do badań. Obecnie przygotowujemy wystawę kronik korpusu. Mamy ich wiele, opowiadają m.in. historię życia pozafrontowego żołnierzy. Niektóre są przepięknie ilustrowane, tworzą małe dzieła sztuki, ozdobione akwarelami, malowane piórkiem, ze wspaniałą kaligrafią i bogatą oprawą. Jeśli czasem brakuje akt danej jednostki, wtedy kronika jest podstawą naszej wiedzy o oddziale i ludziach, którzy go tworzyli. Mamy także dzienniki działań, które tworzono w 1941 roku w Związku Radzieckim - dostarczają informacji o organizacji jednostek, życiu żołnierzy. Te akta, to nasza historia, są bezcenne dla badań polskiej historii II wojny światowej i dziejów polskiej emigracji.

**Zaraz po wojnie instytut miał przejąć archiwa rządowe i wojskowe. Jednak generał Anders, który w latach 60. przy Princes Gate miał nawet swoje biuro, z**



Z wizytą u burmistrza Michała Jurgi.

Fot. Jerzy Zielonka

### **początku zwlekał z przekazaniem zbiorów instytutowi, dlaczego?**

- Instytut powstał kilka dni przed zakończeniem działań wojennych, a Polskie Siły Zbrojne na Zachodzie istniały jeszcze kilka lat. W maju 1945 r. sprawa cofnięcia uznania przez Brytyjczyków dla rządu polskiego w Londynie była już przesądzona, pozostawało tylko pytanie, kiedy to nastąpi. Za radą brytyjskich przyjaciół instytut nie został utworzony dekretem rządowym czy prezydenckim, tylko jako prywatna placówka. Przy powołaniu do życia dekretem rządowym, zostałaby uznana za państwową instytucję i po cofnięciu uznania rządowi londyńskiemu, istniało duże prawdopodobieństwo, że reżim warszawski będzie wywierał presję, żeby zwrócić im całą państwową dokumentację.

**Generał obawiał się, by archiwum nie dostało się w ręce rządu warszawskiego czy – jeszcze gorzej - Sowietów.**

- Generał Anders, który kilka lat spędził w sowieckich więzieniach, dobrze wiedział, czego można spodziewać się po Sowietach i za nic nie chciał dopuścić do sytuacji, żeby te akta wpadły w ręce komunistów i zostały wykorzystane przeciwko jego żołnierzom. Tym bardziej, że archiwum 2 Korpusu

Polskiego zawierało relacje tysięcy osób, które wydostały się z obozów i łagrów sowieckich i opisywały gehennę tego, co tam przeżyły w latach 1939-1941. Poza tym chodziło także o bezpieczeństwo rodzin żołnierzy Korpusu, które zostały w kraju. Dopiero, kiedy był pewny, że nie ma mowy o oddaniu materiałów Warszawie, zgodził się na ich przekazanie i gorąco popierał utworzenie instytutu. Należy podkreślić, że żołnierze 2 Korpusu Polskiego darowali dużo pieniędzy na utworzenie i funkcjonowanie placówki. Jedną z najmądrzejszych decyzji był zakup na własność domu przy Princes Gate, w którym funkcjonujemy do dzisiaj. Inne polskie organizacje polonijne, które dzierżawiły budynki, nieraz borykały się z problemami finansowymi i opłacaniem czynszu.

**Czego brakuje w zbiorach, a co chętnie by pan widział w zbiorach archiwum?**

- To znowu jest trudne pytanie. Nie jestem broń Boże zachłanny, ostatecznie archiwum obejmuje 1,5 kilometra akt. To są ogromne i niezwykle różnorodne zbiory. Ludzie często myślą, że zbiory instytutu ograniczają się do spuścizny po generale Sikorskim, ewentualnie do II wojny światowej. Oczywiście pamiątki po generale: oryginalna umowa o współpracy polsko-so-

wieckiej podpisana 4 grudnia 1941 r. przez Sikorskiego i Stalina, mundur generała wyłowiony z Gibraltaru, flaga zatknięta na ruinach klasztoru Monte Cassino oraz akta II wojny światowej, stanowią trzon naszych zbiorów, ale mamy także materiały sięgające XIX wieku, np. akta z pierwszej wojny światowej, okresu niepodległości międzywojennej, a najstarsze sięgają nawet XIV w.; dwa dokumenty książąt piastowskich ze Śląska potwierdzające nadanie ziemi. Podobnie zbiory muzealne wykraczają poza ramy czasowe II wojny, posiadamy bogatą galerię obrazów, mundurów, monet itd.

**Rozmawiamy w Kościanie, na tarasie kawiarni przylegającej do parku, który nosi imię Kajetana Morawskiego, czy w archiwum znajdują się materiały z działalności ambasadora?**

- Zespół jest nieduży, ale interesujący, liczy kilkadziesiąt jednostek archiwalnych obejmujących działalność Ambasady Rzeczypospolitej w Paryżu w latach 1944-1950, kiedy ambasadorem przy rządzie de Gaulle'a był Kajetan Morawski. Materiały dotyczą początków powojennej emigracji politycznej we Francji, starania Morawskiego, żeby zapewnić opiekę polskim uchodźcom, weteranom we Francji. Ambasador dopiął

swego i udało się utworzyć taki dom w Lailly en Val. Znam i chętnie czytam artykuły Kajetana Morawskiego – rewelacyjna jest jego książka wspomnieniowa „Tamten brzeg”, do której często wracam. Wtedy, zaraz po wojnie, to był gorący okres - wciąż spodziewano się, że dojdzie do konfliktu bloku wschodniego z zachodnim. Wciąż żywa była idea odtworzenia polskich sił zbrojnych na Zachodzie. Utrzymywano intensywne kontakty z generalicją i politykami Europy Zachodniej i Ameryki. Zamysłem Andersa było, żeby przeciągnąć istnienie korpusu i nie dać się przedwcześnie rozwiązać.

#### **Zapewne ze zbiorów archiwalnych korzystają głównie historycy, czy przychodzą ludzie szukający informacji o bliskich?**

- Poza zawodowymi historykami i pasjonatami oraz studentami do naszych drzwi puka wiele osób, które interesują się losami krewnych; dziadka, wujka, chcą pogłębić posiadaną wiedzę lub dowiedzieć się czegośkolwiek, bo czasem poza imieniem dziadka, niewiele więcej wiedzą. Obserwuję, że zainteresowanie losami rodziny przeskakuje pokolenia, np. wnuki pytają o dziadków, twierdząc, że rodzice nic nie mówili o przeszłości, nie wspominali o wojnie. Na początku mojej pracy ludzie pytali o ojców, dziadków, teraz często o pradziadka, który służył w Polskich Siłach Zbrojnych. Mamy dużo dokumentów o charakterze akt osobowych, więc szansa, żeby dowiedzieć się o losach bliskich jest względnie duża. Zanim się do nas przyjdzie, jest ważne, żeby zebrać w miarę możliwości jak najwięcej informacji. Jak w każdym archiwum, im więcej wiemy, tym łatwiej nam oszacować czy posiadamy potrzebne dokumenty lub wskazać kierunek poszukiwań. Informacja, że dziadek służył w 2 Korpusie Polskim, w którego szeregach było 50 tysięcy żołnierzy, niewiele nam mówi, ale jeśli wiemy w jakim batalionie, to już inna rozmowa.

#### **Czy w archiwum są materiały wyłączone z ogólnego udostępniania?**

- Niewiele. Jedyne materiały „pod embargo” dotyczą zbiorów zastrzeżonych przez darczyńców oraz akt sądów polowych. Poza wymienionymi, wszystkie akta są ogólnie dostępne.

#### **Archiwum idzie z duchem czasu, przybywa akt dostępnych na stronie internetowej.**

- Od ośmiu lat pracujemy nad digitalizacją zbiorów. Na naszej stronie internetowej umieściliśmy jeszcze nie wszystkie, ale wiele inwentarzy, akta Prezydium Rady Ministrów,

dokumentację Ambasady RP w Kujbyszewie, Polskich Sił Powietrznych na Zachodzie, kroniki, relacje z kampanii wrześniowej. I wciąż dodajemy nowe dokumenty. Udało nam się zeskanować blisko milion stron dokumentów. Poprzez digitalizację chcemy zabezpieczyć wszystkie dokumenty, a także jak najwięcej opublikować w Internecie, żeby każdy mógł z nich korzystać na swoim komputerze.

#### **Przyjechał pan na kilka dni do kraju i znalazł czas, żeby odwiedzić Kościan. Jakie wrażenia z pobytu w mieście nad Obrą?**

- Dzisiaj rano przyleciałem z Londynu i od kilku godzin goszczę w Kościanie. Jestem pod wielkim urokiem waszego pięknego miasta, muzeum, wizyty u burmistrza Michała Jurgi, podziwiam wszechobecną zieleń i porządek. Przewodnikami są moi przyjaciele Zenon Józwiak i redaktor Jerzy Zielonka, od którego dowiedziałem się wiele o historii i wspaniałej przeszłości waszego miasta. W miarę dobrze znam Poznań, bo dziadkowie tam mieszkali, ale w Kościanie jestem pierwszy raz. Jestem naprawdę miastem zachwycony.

#### **Jako dziecko żołnierza emigranta urodził się pan w Londynie, ale rodzina pochodzi z Wielkopolski.**

- Od 1919 roku dziadkowie mieszkali w Poznaniu, chociaż pochodzili ze wschodniej Małopolski. Po odzyskaniu niepodległości na Kresach Zachodnich brakowało nauczycieli, a dziadek był polonistą, babcia biologiem, więc ze Lwowa ściągnięto ich do pracy do Poznania. Mój ojciec zdążył urodzić się jeszcze we Lwowie, a po kilku tygodniach rodzina przeniosła się do Wielkopolski. Po II wojnie światowej dziadkowie zostali w Poznaniu.

#### **Drugi dziadek, do którego ponoć jest pan bardzo podobny, był wysokim rangą oficerem w Wojsku Polskim.**

- Mówią, że podobieństwo, jak zainteresowanie korzeniami rodzinnymi, przeskakuje co drugie pokolenie. Dziadek Tadeusz Skinder pochodził z kresów, ale także miał powiązania wielkopolskie, ponieważ przed 1939 r. dwukrotnie służył w poznańskim 57 pułku piechoty; jako dowódca kompanii, potem batalionu. Jego specjalnością był wywiad, służył w „Dwójce”. Na Zachodzie przez pewien czas był zastępcą szefa Oddziału II Sztabu Naczelnego Wodza, komendantem grupy wywiadowczej Polskiego Korpusu Przysposobienia i Rozmieszczenia i zastanawiał się, co zrobić ze starszymi, schorowanymi żołnierzami, którzy nie zdołają ułożyć sobie życia poza obozem, znaleźć pracy w Wielkiej Brytanii. Powstała idea stworzenia

osiedla, a właściwie polskiej wioski. Był jednym z założycieli polskiego osiedla dla starszych Polaków w Penrhos na Półwyspie Lleyn w północno-zachodniej Walii, który istnieje do dzisiaj. Dziadek został jego pierwszym kierownikiem.

#### **Natomiast pański ojciec służył u generała Maczka...**

- Przebył daleką drogę, żeby dostać się do polskiego wojska. We wrześniu 1939 r. z Poznania trafił do Lwowa, potem przez Rumunię do Francji, gdzie jako osiemnastoletni młodzieniec wstąpił do Wojska Polskiego, tam od razu odkomenderowano go do szkoły. Kilka dni przed upadkiem Paryża zdał maturę, po czym dołączył do swojego oddziału, z którym został ewakuowany do Anglii, następnie do Szkocji. Z pierwszą dywizją generała Maczka przeszedł szlak bojowy przez Francję, Belgię i Holandię.

#### **Rodzina została w Wielkiej Brytanii, tam pan chodził do szkoły, studiował, pracę magisterską pisał pan u znanego historyka.**

- Studiowałem w London University, pracę magisterską pisałem u profesora Normana Daviesa. Maturę zdawałem w polskiej szkole średniej Ojców Marianów w Fawley Court. Historii uczył mnie Paweł Szulc, przed wojną nauczyciel gimnazjalny w Gostyniu, autor pierwszej monografii dziejów Gostynia, która zdążyła ukazać się w 1939 roku. Był oficerem rezerwy 55 pułku z Leszna. W czasie kampanii wrześniowej dostał się do niewoli, spędził kilka lat w obozie jenieckim w Murnau. Po odzyskaniu wolności uczył w gimnazjum II Korpusu Polskiego we Włoszech.

#### **Pana żona Maria z Bobińskich jest wnuczką generała Zygmunta Podhorskiego.**

- Generał, a wtedy jeszcze pułkownik Zygmunt Podhorski, przez wiele lat był dowódcą 1 Pułku Ułanów Krechowickich. Napisałem doktorat o ułanach krechowickich w latach 1941-1947, czyli od jego odtworzenia w Związku Radzieckim, potem zreformowania na Środkowym Wschodzie, po uczestnictwo w kampanii włoskiej jako część 2 brygady pancerniej. Starszy brat generała Włodzimierz Podhorski w latach 1921-1929 był dowódcą 17 pułku ułanów w Lesznie. Dużo można by o nim mówić.

#### **- To w takim razie, wpraszam się na kolejną rozmowę...**

- No to do zobaczenia w Londynie. Będzie mi miło gościć w naszym archiwum dziennikarzy z Kościana.

**Rozmawiała  
TERESA MASŁOWSKA**



# Wnuk na tropach dziadka



*Dziadek w mundurze*

Wszystko zaczęło się jak zwykle przypadkiem. W domu remont - przebudowa i jak to zwykle bywa w takich sytuacjach z najciemniejszych zakamarków wyciągaliśmy różne dziwne przedmioty, segregowaliśmy, zastanawialiśmy się nad potrzebą ich dalszego przechowywania. Jak w każdym chyba domu strychy i piwnice pełne są „skarbów”. Niektóre okazały się zupełnie niepotrzebne, inne po wyczyszczeniu znalazły nowe miejsce. Ponieważ zawsze lubiłem historię moją uwagę szczególnie przykuwały rzeczy noszące znamiona starych. Ale nie starych butów sprzed 10 lat, tylko naprawdę przedstawiających jakąś wartość historyczną. Były to przede wszystkim książki, których w moim domu zawsze było naprawdę dużo, ale też dokumenty, naczynia, narzędzia itp. Największym odkryciem remontu okazał się album ze zdjęciami.

Od zawsze wiedziałem, że dziadek, ojciec mamy Jan Kazimierz Piotrowski był na wojnie, w armii Andersa, ale to co zobaczyłem zelek-

tryzowało mnie. Otwieram album i na pierwszej stronie widzę zdjęcie ślubne dziadka z moją babcią Leokadią, a na wewnętrznej stronie okładki nikt inny jak gen. Władysław Sikorski. Trochę dziwne pomyślałem, że w albumie rodzinnym zdjęcie generała, premiera, ale to co zobaczyłem później rozjaśniło mi umysł. Album zawierał dziesiątki zdjęć dziadka w najróżniejszych sytuacjach, miejscach i okresach XX w.

Dziadek urodził się w 1911 r. we Lwowie, czyli w bardzo ciekawym miejscu i czasie. Lwów, a w zasadzie Królewskie Stołeczne Miasto Lwów odznaczone Krzyżem Virtuti Militari przez Józefa Piłsudskiego za obronę przed bolszewikami na pewno było miejscem bardzo ciekawym do życia. Tygiel narodów i religii, ze szczególnością ukochał Rzeczpospolitą. Mówiło się SEMPER FIDELIS – zawsze wierny. Z tego okresu na zdjęciach w albumie jest dziadek, jego rodzina, widoki ulic, zdjęcia z budów. I to mnie zaciekało, co dziadek robił na budowach, po rozmowie z mamą dowiedziałem się, że był ślusarzem – zbrojarzem. Jako

robotnik budowlany uczestniczył w wielu budowach na kresach II Rzeczypospolitej. Zaraz mnie to zaintrygowało i zacząłem zastanawiać się co to za budowle, czy istnieją do dziś?

Kresami interesowałem się zawsze; wojną, wojskiem polskim też - wyciągnąłem książki i albumy, zajrzałem do Internetu i jest! Rozpoznałem budynki! Jeden z nich to Dom Żołnierza we Lwowie, dziś znajduje się tam Młodzieżowy Dom Kultury, oczywiście ukraińskiej. Następny obiekt to Dom Rolniczo – Handlowy L.T.R. w Tarnopolu, Akademia Hadlu Zagranicznego we Lwowie przy ul. Sakramentek 10, była w II RP jedyną uczelnią, kształcąca fachowców dla polskiej służby konsularnej. Mam osobistą refleksję na ten temat.

Podczas mojej wizyty na Ukrainie, we Lwowie w 2013 r. doszedłem do wniosku, że wszystko co tam jest ładne, stylowe i posiada walory artystyczne pozostało tam z czasów polskich. Nawet bruki na ulicach są przedwojenne. Niestety budowle te znajdują się w bardzo złym stanie, są zaniedbane i od lat nie remontowane. Na bardzo wielu elewacjach pozosta-



*Wnuk przy komputerze*

ty polskie napisy.

Ale wracam do albumu. Na kolejnych zdjęciach odnajduję dziadka z grupą ludzi w mundurach. Chwilę zajęło mi rozpoznanie formacji. To Związek Strzelecki - paramilitarna organizacja bardzo popularna wśród młodzieży na kresach przed wojną. Tych fotografii jest kilka. Jedną z nich załączam do tekstu. Jest na niej oddział Strzelca, a wśród nich dziadek (czwarty od prawej w górnym rzędzie). Bardzo ciekawi mnie, kim jest człowiek w cywilnym ubraniu pośród nich. Postać ta powtarza się jeszcze na kilku zdjęciach oddziału. Jako Związek Strzelecki uczestniczyli we wszystkich ważnych wydarzeniach tamtych czasów, defilady, marsze, akademie i zawody sportowe. W innym miejscu odnajdzie się też później dyplom i odznaka III Marszu Zadwórzeńskiego na cześć bitwy pod Zadwórzem z 1920 r. gdzie na dworcu kolejowym 330 młodych obrońców Lwowa zatrzymało Pierwszą Armię Konną Siemiona Budionego. Ze Związku Strzeleckiego zachował się też dyplom za zajęcie III miejsca w chodzie lekkoatletycznym.

Bardzo ciekawa jest w albumie zdjęcie – pocztówka (na zdjęciu) przesłana do dziadka przez pewnego człowieka, z którym dziadek korespondował. Ów człowiek pochodzący z Wilna wstąpił się tym, że przez 8 lat przeszedł cały świat dookoła, pisały na ten temat ówczesne gazety. Dobrze dziadek wyglądał też w mundurze straży pożarnej miasta Lwów. Był w niej do końca września 1939 r. Niestety zbliżał się już wtedy do świata Armagedon. Hitler i Stalin ostrzyli już kły żeby zdusić szybko rozwijające się państwo i poszerzyć przestrzeń życiową dla swojego narodu lub jak twierdził Stalin objąć opieką ludność radziecką zamieszkującą obszary zachodniej Białorusi i zachodniej Ukrainy, czyli po prostu II Rzeczpospolitej. Dlatego osobną grupę zdjęć stanowią fotografie z okresu II wojny światowej.

Podczas moich poszukiwań po korespondencji z PCK odkryłem, że dziadek został aresztowany we wrześniu 1940 r. i wywieziony w głąb ZSRR. Niestety ten okres jest najmniej udokumentowany w moich

zbiorach. Kilukrotnie występowałem do Stowarzyszenia Memoriał w Moskwie, Stowarzyszenia Karta oraz archiwów ukraińskich o informacje o okresie po aresztowaniu do zgłoszenia się do Polskiej Armii w ZSRR, ale bez powodzenia. Zacząłem zastanawiać się jak mogę poszerzyć wiedzę na temat uczestnictwa mojego przodka w najtragiczniejszym wydarzeniu wszechczasów II wojnie światowej. Śledziłem fora Internetowe, strony poszczególnych instytucji zajmujących się gromadzeniem takich danych. Najpierw wystąpiłem do Centralnych Archiwów Wojskowych o teczkę osobowa dziadka. Swojego czasu zostały one przekazane przez Anglików do polskich archiwów.

Wynika z niej, że 28 września 1941 r. został wcielony do 19 pułku piechoty tworzącej się po podpisaniu układu Sikorski – Majska Armii polskiej w ZSRR. Dla tych wszystkich którzy przeszli przez „niełudzką ziemię” głodnych, chorych, wyczerpanych i katowanych przez zimnych bolszewickich oprawców ludzi tworzące się Wojsko Polskie było światłem w tunelu do życia przed-



Lwowscy „Strzelcy”

wojennego, wolnej Polski, którego już nigdy nie będzie im dane zaznać. Z dokumentów przesłanych przez CAW dowiedziałem się bardzo wielu faktów. Do jakich jednostek dziadek należał, jak wyglądał jego szlak bojowy, jakie oceny otrzymywał od przełożonych. Z formularza repatriacyjnego wynika, że nie wstępuje do Polskiego Korpusu Przysposobienia i Rozmieszczenia i oświadcza, że wraca do Polski, do rodziny, na „ziemie odzyskane”, na Dolny Śląsk do miejscowości Strzelin gdzie już przebywa jego matka, moja prababka

Katarzyna wysiedlona ze Lwowa. Wiem, jakie otrzymał odznaczenia i medale, polskie i brytyjskie. Są wśród nich: Krzyż pamiątkowy Monte Cassino, Brązowy Krzyż Zasługi z Mieczami, Gwiazda Italii, Odznaka Kierowcy Wzorowego II RP, Medal Wojska, Medal Wojny 1939/1945. Niestety w pamiątkach rodzinnych medale nie zachowały się.

Będąc już stałym bywalcem historycznych forów udało mi się ustalić, że Wielka Brytania wydaje duplikaty przyznawanych przez Imperium medali. Napisałem stosow-

ny wniosek do Biura Medali Brytyjskiego Ministerstwa Obrony wraz z odpowiednimi załącznikami potwierdzającymi pokrewieństwo i czekam. Po ok. 8 miesiącach przychodzi przesyłka z Anglii, a w niej piękne błyszczące medale. Każdy w osobnym pudełku w aksamitnej wyściółce wraz z certyfikatem oryginalności. Cały front włoski służył w 21 Kompanii Transportowej. Przebył z Armią Andersa cały szlak bojowy II Korpusu Polskiego. Od rzeki Sangro przez Linie Gustawa – Hitlera, Monte Cassino, Linie Gotów, Ankonę, Apeniny Północne, rzeka Senio, Dolina Lombardzka aż po Bolonię. Z archiwów Ministerstwa Obrony Wielkiej Brytanii dowiedziałem się też, że dziadek wrócił do Polski statkiem 20 czerwca 1947 r. W Gdańsku otrzymuje zaświadczenie z Państwowego Urzędu Repatriacyjnego o konieczności zameldowania się w RKU Brzeg po przybyciu do miejsca docelowego pobytu w Polsce.

Jest w tym albumie wiele fotografii z Bliskiego Wschodu, z Palestyny, z Egiptu. Żołnierze w namiotach przy zwykłych codziennych czynnościach, ale też na przepustkach w atelier fotograficznym, w mieście. Są zdjęcia z podpisami kolegów z wojska, pocztówki i pamiątki turystyczne wydawane już w tamtych czasach. Z samych działań wojennych nie ma zbyt wielu fotografii, ale za to dużo z okresu pobytu II Korpusu we Włoszech. Wynika z nich, że polscy żołnierze mocno zżyli się z Włochami. Jest kilka zdjęć ślubnych żołnierzy w mundurach i pięknych Włoszek. Na fotografiach jest wiele nie rozpoznanych przeze mnie osób i miejsc. Postaram się je systematycznie publikować i być może ktoś z czytelników będzie umiał mi pomóc w identyfikacji. Przeglądając wszystkie materiały, jakie udało mi się pozyskać wiem, że to nie koniec poszukiwań. Raczej początek. Każdy dokument, fotografia, pamiątka ma za sobą swoją osobną historię. Prawdopodobnie nie uda się ich wszystkich poznać, ale trzeba zrobić wszystko by ocalić je od zapomnienia.



Jan Piotrowski w lwowskiej straży pożarnej. Fot. (4x) w zbiorach autora artykułu

TOMASZ KLEMENSKI



Naszywka PSZ na Zachodzie.

## Żołnierskie powroty z Zachodu (1)

Pamiątkowy Medal Polskich Sił Zbrojnych na Zachodzie For. (2x) wikipedia

Panuje obiegowe przekonanie, że żołnierze Polskich Sił Zbrojnych na Zachodzie po powrocie do Kraju przeważnie ukrywali swoje życiorysy i zatajali przed ówczesnymi władzami przynależność wojskową. Materiały odnalezione przez red. Teresę Masłowską w archiwum poznańskiego oddziału Instytutu Pamięci Narodowej obalają ten pogląd. Dowodzą bowiem niezbicie, że powrót oficerów i żołnierzy WP, także obywateli cywilnych z Zachodu był szczegółowo rejestrowany na przejściach granicznych przez placówki Państwowego Urzędu Repatriacyjnego. Po przybyciu do miejscowości osiedlenia, wojskowi na dodatek mieli obowiązek zameldowania się w Rejonowych Komendach Uzupełnień i w zdecydowanej większości ten obowiązek wypełniali. Komendy zaś sporządzały specjalne wykazy, a ich kopie przekazywały... bezpiece. Ta zaś m.in. w ramach sprawy obiektowej o kryptonimie „Tobruk” – z dużym powodzeniem - zajmowa-

ła się później politycznym rozpracowaniem poszczególnych osób.

W kolejnych numerach „Wiadomości Kościańskich” przedstawiać będziemy imienną listę, sporządzoną przez Rejonową Komendę Uzupełnień w Lesznie, w latach 1945-1948, a zawierającą następujące dane: nazwisko, imię i imię ojca; stopień wojskowy; datę i miejsce urodzenia, wykształcenie, znajomość języków obcych, jak trafił za granicę, informację o jednostce, w której służył lub o miejscu, w którym się znajdował na Zachodzie, datę powrotu do Kraju i aktualny adres zamieszkania według stanu na 28 kwietnia 1948 roku. Lista, opracowana przez Rejonową Komendę Uzupełnień w Lesznie znajduje się w teczce o sygnaturze IPN Po 003 143/IV i nie była znana badaczom tego tematu. Nie ulega wątpliwości, że przedstawiane w niej dane mogą zawierać różne błędy, bo ówcześni „urzędnicy” wojskowi, a tym bardziej funkcjonariusze UB do intelektualnych orłów nie należeli. Autorka liczy na to, że

historycy wojskowości, miłośnicy dziejów polskiego oręża, regionaliści, nauczyciele historii, archiwiści i muzealnicy oraz – przede wszystkim - rodziny oficerów i żołnierzy pomogą zweryfikować i uszczegółwić dane, które prezentuje. Listę zamieszczać będziemy według tak zwanego wzorca holenderskiego - w każdym odcinku według kolejności alfabetycznej, zaczynając jednak od oficerów i podoficerów.

B.

Beba Piotr s. Piotra, podporucznik rezerwy, nauczyciel. Ur. 23 V 1912 Wławie pow. Kościan; matura i kurs podchorążych rezerwy piechoty; język niemiecki; we wrześniu 1939 niewola niemiecka; był kierownikiem szkoły w ośrodku polskim w Westfalii, wrócił 1 III 1946; adres – Świniec pow. Kościan.

Biskupski Stanisław s. Romana, porucznik służby stałej, kapelmistrz. Ur. 22 IV 1900 Krzywiń pow. Kościan; matura i kurs kapelmistrzowski; języki: angielski i niemiecki; we wrześniu 1939

niewola niemiecka; kapelmistrz w orkiestrze 14 Brygady Pancerniej II Korpusu gen. Andersa; wrócił 11 VIII 1947; adres – Leszno ul. Narutowicza 47.

Biziel Stanisław s. Ludwika, podporucznik rezerwy. Ur. 5 IX 1914 Krzywiń pow. Kościan; seminarium nauczycielskie i kurs podchorążych rezerwy piechoty; języki: angielski i niemiecki; we wrześniu 1939 niewola niemiecka, był wykładowcą w ośrodku oficerskim w Lubece; wrócił 1 X 1946; adres – Krzywiń ul. Lewandowskiego 24 pow. Kościan.

Buxakowski Aleksander s. Franciszka, porucznik rezerwy, lekarz. Ur. 7 IX 1901 Wrocław, Wydział Lekarski Uniwersytetu Poznańskiego i kurs podchorążych rezerwy piechoty; języki: niemiecki, francuski i angielski; we wrześniu 1939 niewola niemiecka; był lekarzem psychiatrą w I Dywizji Pancerniej gen. Maczka; wrócił 17 VI 1947; adres – Wonieść pow. Kościan.

#### C.

Chylewski Jan s. Władysława, podporucznik rezerwy. Ur. 29 VIII 1910 Budowo pow. Tuchola; seminarium nauczycielskie i kurs podchorążych rezerwy; we wrześniu 1939 niewola niemiecka; był w Polskim Ośrodku Wojskowym w Lubece; wrócił 22 XI 1945; adres – Śmigiel ul. Kilińskiego 10 pow. Kościan.

Cichy Maksymilian s. Klemensa, podporucznik rezerwy, lekarz. Ur. 8 X 1898 Bieruń pow. Pszczyzna; Wydział Lekarski Uniwersytetu Poznańskiego i kurs podchorążych rezerwy; języki: rosyjski, angielski i niemiecki; we wrześniu 1939 – niewola sowiecka; od października 1941 II Korpus gen. Andersa; lekarz 5 Dywizji Piechoty II Korpusu gen. Andersa; wrócił 16 V 1947; adres: Kościan, Al. Kościuszki 30.

Ciennoczołowski Stanisław s. Jozefa, podporucznik rezerwy. Ur. 4 IV 1909 Janowice pow. Żnin; seminarium nauczycielskie i kurs podchorążych rezerwy; język niemiecki; był więźniem niemiec-

kiego obozu koncentracyjnego w Oranienburgu; wrócił 18 VI 1946; adres – Krzywiń ul. Lewandowskiego 15 pow. Kościan.

Cieślaczak Wojciech s. Walentego, podporucznik piechoty. Ur. 23 IV 1908 Kluczewo pow. Kościan; seminarium nauczycielskie i kurs podchorążych rezerwy; język niemiecki; we wrześniu 1939 niewola niemiecka; był w oflagu w Murnau; wrócił 17 VIII 1946; adres – Robczysko pow. Leszno.

Ciszek Leon s. Apolinarego, rotmistrz, prawnik. Ur. 30 III 1910 Czacz pow. Kościan; Wydział Prawa Uniwersytetu Poznańskiego i szkoła podchorążych rezerwy; języki: francuski, włoski i niemiecki; był w niemieckim obozie koncentracyjnym w Oranienburgu, zbiegł w czasie transportu; oficer sądowy i oficer do zadań specjalnych II Korpusu gen. Andersa.

#### D.

Dąbrowski Zygmunt s. Antoniego, podporucznik, prawnik. Ur. 20 III 1906 Płock; Wydział Prawa Uniwersytetu Poznańskiego i szkoła podchorążych rezerwy; język francuski; we wrześniu 1939 niewola niemiecka; był oficerem sądowym w II Korpusie gen. Andersa. wrócił 26 VI 1945; adres – Kościan ul. Sienkiewicza 4.

Dyllick Roman s. Aleksandra, kapitan rezerwy, duszpasterz. Ur. 16 VI 1909 Annenburg w Niemczech, seminarium duchowne, języki: niemiecki, francuski, angielski; więzień niemieckiego obozu koncentracyjnego w Dachau; był kapelanem 1 Dywizji Pancerniej gen. Maczka i duszpasterzem Polskiej Misji Katolickiej w Hanowerze; wrócił 21 VIII 1946; adres – Czempiń, Rynek 35 pow. Kościan.

#### F.

Frankowski Tadeusz s. Mściława, porucznik rezerwy. Ur. 24 V 1897 Solec pow. Wolsztyn; seminarium nauczycielskie i szkoła oficerska armii niemieckiej (?); języki: francuski, rosyjski i

niemiecki; we wrześniu 1939 niewola niemiecka; był kierownikiem kuchni w oflagu w Murnau; wrócił 19 IX 1945; adres – Wielichowo pow. Kościan.

Frąckowiak Stanisław s. Stanisława, podporucznik rezerwy, artylerzysta. Ur. 18 VIII 1911 Buerbeckhausen w Niemczech; matura i kurs podchorążych rezerwy; język niemiecki; we wrześniu 1939 niewola niemiecka; oficer żywnościowy w Polskim Ośrodku Wojskowym w Lubece; wrócił 5 VIII 1946; adres – Kościan ul. Mickiewicza 9.

#### G.

Gazi Kazimierz s. Jana, podporucznik, Ur. 18 III 1905 Winnica na Ukrainie; Główna Szkoła Gospodarcza i szkoła podchorążych rezerwy; języki: angielski, rosyjski i niemiecki; we wrześniu 1939 niewola niemiecka; oficer łącznikowy Polskich Sił Zbrojnych w Bawarii; wrócił 10 V 1946; adres – Kościan, ul. Mickiewicza 8.

Grzegorzyc Kazimierz s. Andrzeja, podporucznik. Ur. 27 I 1903 1906 Dolsk pow. Śrem; Państwowa Szkoła Budowlana i szkoła podchorążych rezerwy; język niemiecki, we wrześniu 1939 niewola niemiecka był w Polskim Ośrodku wojskowym w Lubece; wrócił 22 XI 1945; adres – Kościan ul. Młyńska 2.

#### K.

Kubacki Marcei s. Wojciecha, podporucznik. Ur. 1 I 1903 Kościan; matura i szkoła podchorążych rezerwy; język niemiecki; we wrześniu 1939 niewola niemiecka, był w Polskim Ośrodku Wojskowym koło Bremy; wrócił 17 I 1946; adres – Leszno ul. Leszczyńskich 19.

Kuryłas Jan s. Andrzeja, podporucznik, saper; matura i szkoła podchorążych rezerwy; język niemiecki; we wrześniu 1939 niewola niemiecka; był w oflagu w Murnau i w Polskim Ośrodku Wojskowym tamże; wrócił 1 IX 1945, adres – Kościan ul. Surzyńskiego 19.

## Ł.

Łaniecki Józef s. Waleriana, porucznik rezerwy, kawalerzysta. Ur. 20 II 1903 Różagóra pow. Żnin; matura i kurs podchorążych rezerwy kawalerii; język niemiecki; od września 1939 niewola niemiecka; był oflagu w Murnau i w Polskim Ośrodku Wojskowym tamże; wrócił 6 VI 1946; adres – Popowo Stare pow. Kościan.

## M.

Marciniak Franciszek s. Ludwika, kapitan służby stałej. Ur. 21 XI 1900 Bieżyń pow. Kościan; 4 klasy gimnazjum i szkoła dla podoficerów, języki: francuski i niemiecki; w styczniu 1940 samorzutnie przedostał się do Francji; dowódca kompanii wartowniczej w polskim obozie wojskowym w Oberlangen; wrócił 3 IX 1946; adres – Bieżyń pow. Kościan (?), Poznań ul. Skarbowa 21 m. 7.

## P.

Poprawski Ludwik s. Franciszka, podporucznik. Ur. 29 VII 1909 Szurkowo pow. Gostyń; seminarium nauczycielskie i kurs podchorążych rezerwy; język niemiecki; we wrześniu 1939 niewola niemiecka; wrócił 17 XII 1946; adres – Poświętno pow. Kościan.

## S.

Słodnik Józef s. Józefa, podporucznik. Ur. 25 II 1914 Śmigiel; liceum handlowe i kurs podchorążych rezerwy; język niemiecki; we wrześniu 1939 niewola niemiecka; był w oflagu w Murnau i w Polskim Ośrodku Wojskowym tamże; wrócił 15 I 1946; adres – Leszno ul. Nowy Rynek 19/4.

Sobkowiak Edward s. Romana, podporucznik. Ur. 8 III 1913 Berlin; matura i kurs podchorążych rezerwy; języki: włoski, angielski i niemiecki; we wrześniu 1939 niewola niemiecka; był dowódcą plutonu w 4 Baonie Strzelców w II Korpusie gen. Andersa; wrócił 25 V 1947; adres – Śmigiel ul. Jagiellońska 7 pow. Kościan.

Solecki Tadeusz s. Jana, porucznik rezerwy, sędzia sądu

polowego. Ur. 26 IX 1893 Mszana pow. Limanowa; Wydział Prawa na Uniwersytecie Jagiellońskim; język niemiecki, we wrześniu 1939 niewola niemiecka; był w oflagu w Murnau i w Polskim Ośrodku Wojskowym tamże; wrócił 13 IX 1945; adres – Śmigiel ul. Sobieskiego 10 pow. Kościan.

Szłabs Antoni s. Józefa, podporucznik rezerwy. Ur. 14 I 1914 Poznań; matura i kurs podchorążych rezerwy; języki rosyjski i niemiecki; był więźniem politycznym niemieckiego obozu koncentracyjnego Dachau; wrócił 17 VIII 1946; adres Wielichowo ul. Grodziska 17 pow. Kościan.

## Ś.

Świętochowski Stefan s. Sylwestra, kapitan artylerii. Ur. 21 VII 1890 Warszawa; Szkoła Wawelberga i szkoła oficerska artylerii; języki: francuski, rosyjski, angielski, niemiecki; w grudniu 1939 ucieczka do Palestyny (?); był w kadrze rezerwowej oficerskiej w Egipcie (?); wrócił 30 VI 1947; adres – Śmigiel ul. Sienkiewicza 27 pow. Kościan.

## T.

Twórz Otton s. Emanuela, porucznik rezerwy, artylerzysta. Ur. 3 VII 1909 Cerkiew pow. Koźle; matura i szkoła podchorążych artylerii; języki: niemiecki i angielski; we wrześniu 1939 niewola niemiecka; był w Polskim Ośrodku Wojskowym w Lubece; wrócił 22 XI 1945; adres – Śmigiel ul. Mickiewicza 31 pow. Kościan.

## W.

Waliński Franciszek s. Adama, porucznik rezerwy. Ur. 12 I 1909 Piątkowo pow. Września; seminarium nauczycielskie i szkoła podchorążych piechoty; we wrześniu 1939 niewola niemiecka; był w oflagu, później nauczyciel w Polskim Ośrodku Cywilnym w Bawarii; wrócił 12 V 1946; adres – Oborzyska Stare pow. Kościan.

Wąsiak Jan s. Jana, podporucznik rezerwy. Ur. 15 VII 1913 Głińsko pow. Kościan, liceum handlowe i kurs podchorążych rezerwy;

języki: angielski, włoski i niemiecki; we wrześniu 1939 niewola niemiecka; był oficerem płatnikiem 1 Baonie Strzelców II Korpusu gen. Andersa; wrócił 27 X 1947; adres – Głińsko pow. Kościan.

Wdowicki Leon s. Leona, podporucznik rezerwy. Ur. 30 VII 1914 Kraków; matura i kurs podchorążych rezerwy; języki: niemiecki i włoski; we wrześniu 1939 niewola niemiecka; był oficerem kwaterunkowym w II Korpusie gen. Andersa; wrócił 24 VI 1947; adres – Kościan, ul. Śmigielska 2.

Wertz Mieczysław s. Antoniego, podporucznik rezerwy. Ur. 6 VI 1899 Czarne koło Pilzna; seminarium nauczycielskie; we wrześniu 1939 – niewola niemiecka; był nauczycielem w Polskim Ośrodku w Bawarii; wrócił 28 XI 1946; adres – Jasień pow. Kościan.

Woźniak Jan s. Franciszka, podporucznik rezerwy. Ur. 10 VI 1913 Bottrop w Niemczech; seminarium nauczycielskie i kurs podchorążych rezerwy; we wrześniu 1939 – niewola niemiecka; był nauczycielem w Polskim Ośrodku Wojskowym w Niemczech; wrócił 29 VII 1946; adres – Kąkolewo pow. Leszno.

Woźniak Kazimierz s. Franciszka, podporucznik rezerwy, saper. Ur. 13 XI 1903 Chraplewo pow. Szubin; seminarium nauczycielskie i kurs podchorążych rezerwy; język niemiecki; we wrześniu 1939 niewola niemiecka; był w Polskim Ośrodku Wojskowym w Lubece; wrócił 11 XII 1945; adres – Kościan ul. Poznańska 28.

## Z.

Zwierzycki Czesław s. Sylwestra, podporucznik rezerwy. Ur. 14 VII 1911 BiałoPiątkowo pow. Września; matura i kurs podchorążych rezerwy; język francuski; we wrześniu 1939 niewola niemiecka; był w oflagu w Murnau; wrócił 24 VIII 1945; adres – Szczepowice pow. Kościan. (cdn)

**Opr. TERESA MASŁOWSKA**



Płk UB Józef Światło przed mikrofonami Radia Wolna Europa i Głosu Ameryki.

Józef Światło w 1953 r. w czasie tajnej misji służbowej w NRD przedostał się do Berlina Zachodniego, a następnie w Radiu Wolna Europa w audycji pt. „Za kulisami bezpieki i partii” zdradzał tajemnice komunistycznego systemu. Partia nie mogąc osiągnąć zdrajcy skupiła się na jego rodzinie. Krewnych Światły pozbawiono stanowisk, wysiedlono z Warszawy, obstawiono agentami. W aktach warszawskiego IPN o kryptonimie „Kogut”, dotyczących ucieczki Światły, pojawia się miasto Kościan. Okazuje się, że do grudnia nad Obrą „zesłano” żonę Światły Justynę, jej dzieci oraz siostrę. Publikujemy oryginalne dokumenty sprawy Światło związane z Kościanem.

1.

**Poznań, 7 stycznia 1956 r. Ściśle tajne. Do Kierownika Wojewódzkiego Urzędu do spraw Bezpieczeństwa Publicznego w miejscu. Raport.**

Zgodnie z Waszym poleceniem udałem się w dniu 30. 12. 55 r. do Kościana w celu załatwienia sprawy rodziny Stankiewiczów. Obywatelka Stankiewicz – starsza do czasu mojego przyjazdu była zatrudniona w

Kolejowych Zakładach Gastronomicznych, dojeżdżała do Czempinia i jak wynikało z jej słów praca ta jest dla niej za ciężką, gdyż musi dojeżdżać oraz nie może przyzwyczać się do roli bufetowej i czuje się nadal konsumentką. Podkreślała, że dość często musi podnosić skrzynie z lemoniadą, że pracy tej nie może podołać i.t.p. Na tej pracy zarabiała 500 zł miesięcznie plus premia.

Obywatelka Stankiewicz – młodsza pracowała w Przedsiębiorstwie Upowszechniania Prasy i Książki „Ruch” [w Kościanie] na etacie sprzątaczkii, zarabiając 380 zł i dlatego też, że praca ta jej nie odpowiadała wyrażała życzenie pracować w produkcji. W wyniku omówienia powyższej sprawy z I Sekretarzem Komitetu Powiatowego PZPR towarzyszem Sobolewskim Stankiewicz – młodsza została zatrudniona w Wytwórni Papierosów i Cygar w Kościanie zarabiając w okresie próbnym 480 zł miesięcznie, a w miarę jej postępów w pracy – zarobki jej zostaną podwyższone. Oświadczam, że z pracy tej wyraża zadowolenie i podkreśla, iż warunki w pracy jej odpowiadają.

Obywatelka Stankiewicz – starsza zostanie z dniem 10 bm zatrudniona w

Państwowym Przemysle Terenowym w charakterze kontystki. Jej pensja wynosić będzie około 600 zł miesięcznie i 30% premii według uznania. (-) Podpis nieczytelny. Dopisek: 10 1 55 Dodatkowo stwierdzono, że wyżej wymieniona pracę podjęła i jest z niej zadowolona.

2.

**Poznań, 17 kwietnia 1956 r. Do Kierownika Wojewódzkiego Urzędu do spraw Bezpieczeństwa Publicznego w miejscu. Raport z przeprowadzonej rozmowy z S. zam. W Kościanie.**

W dniu 16 b.m. o godz. 19.30 zaszedłem do mieszkania obywatelki S. W mieszkaniu była również jej młodsza siostra oraz dwoje dzieci. W rozmowie z obywatelką S. dowiedziałem się, że ostatnio otrzymała wypowiedzenie z pracy, które po kilku dniach wycofano i pracuje nadal w tym samym dziale, co uprzednio (Przemysł Terenowy). Ważną sprawą jest to, że jej osobą oraz siostrą i dziećmi interesuje się dość duży krąg obywateli w Kościanie. W miejscu pracy osobą jej interesuje się większość współpracowników.

Kościan jest małym miastem – wszyscy

się znają prawie od urodzenia, ona i siostra są w mieście nowymi, przyjazd ich do Kościana i w dodatku czekające na nich dość dobre i duże mieszkanie wzmogło zainteresowanie się nimi sąsiadów, mieszkańców i współpracowników tam gdzie są zatrudnieni.

Obywatelka S. opowiadała mi, że kobiety, które z nią pracują, a szczególnie jedna z nich, starała się dowiedzieć coś więcej o jej osobie, sama opowiedziała S. dużo o sobie, o rodzinie, niewątpliwie z tą myślą, że S. powie jej z kolei coś więcej niż to co można się dowiedzieć z akt personalnych. Gdy jednak S. nic o sobie nie mówiła, zaczęły się trudności we współpracy, okazywanie nieufności, wykazywanie braków w pracy zawodowej, wszyscy – jak stwierdziła – patrzeli na nią z boku.

Dyrektor zakładu również nie starał się temu zapobiec. Przyjęcie jej zpowrotem do pracy, do tego samego działu, do którego uprzednio się nie nadawała, wzmogło niewątpliwie zainteresowanie się jej osobą. Obecnie w pracy poza rozmowami zawodowymi i koniecznymi, innych rozmów nie prowadzi, ani też dotychczas nie zauważyła, żeby ktoś próbował je nawiązać. Jednak moim zdaniem to wcale sytuacji wokół S. nie poprawiło, ludzie teraz właśnie po jej powrotnym przyjęciu mogą więcej mówić i snuć różne domysły.

[S. mówiła, że] zwalnia się tylko z pracy na czas pójścia do lekarza. Chorą ma prawą rękę, lekarz choroby nie określił, powiedział, że może to być gruźlica kości, reumatyzm i jeszcze kilka innych chorób wymieniła, których nie pamiętam – rękę prawą według jej słów miała dwukrotnie złamaną kilka lat temu. Prosiła mnie, żeby jej wskazać dobrego chirurga w Poznaniu, gdyż chce dać rękę zbadać prywatnie, wspomniała, że może to być lekarz Urzędu byle specjalista, zaznaczając mi powtórnie, że pójdzie prywatnie. Podałem jej dr. Boryszewskiego zaznaczając, że nie wiem czy przyjmuje u siebie w domu chorych, gdyż pracuje jeszcze w Akademii Medycznej.

Narzekały na ciężkie warunki, że mało zarabiają, razem około 1000 zł. Starsza S. ma pensji 605 zł miesięcznie, młodsza pracuje fizycznie w Fabryce Cygar zarabia ponad 300 zł, wspomniała, że uprzednio zarobiła za miesiąc 290 zł. Młodsza S. oświadczyła, że w pracy też ma trudności, nie może zawsze wyrobić normy, powiedziano jej, że w zespole pracować nie będzie, gdyż półfabrykatu na następną maszynę nie daje na tyle, ile następna nadąży wyrobić, przez to cały zespół ma również mniejsze zarobki.

Sprawa dzieci – dziewczynka 11 lat, w szkole wszystkie dzieci wiedzą, że nie chodzi do kościoła, dokuczają jej, nauczyciel, który to widział nie zareagował na to. Chłopiec 7 lat – chodzi do przedszkola, rówieśnicy jego postępują podobnie jak z siostrą, z tym że zaczepiają go na ulicy i biją, że nie umie pacierza i nie chodzi do kościoła. Dzieci z nikim się nie kolegują, nawet koło domu gdzie mieszkają, gdyż są wyśmiewane i bite. S. oświadczyła mi, że w początkach jak zaczęła pracować, rozmawiała z jedną z pracownic na zakładzie pracy, rozmowa toczyła się, że ciężko jej rodzinę utrzymać, gdyż ma dwoje dużych dzieci, to rozmawiająca z nią odpowiedziała jej, że ona i tak na utrzymanie dzieci pieniędzy nie wyklada tylko ktoś inny.

Dalej S. stwierdziła, że w rozmowie z inkasentem, który przyszedł po należność za gaz, powiedział jej, że mieszkanie, w którym mieszka jest mieszkaniem UB, co również mówiły jej już inne osoby w pracy. Odpowiedziałem jej, że ludzie o tym mogą mówić, gdyż to nie była tajemnica w mieście, gdyż o to mieszkanie starał się jeden z pracowników miejscowego Urzędu Bezpieczeństwa.

Dalej stwierdziły, że pomimo że ja nie jestem w stanie na to wpłynąć, ale chciałyby mieszkać gdzie indziej, dały mi do zrozumienia, że w większym mieście, gdyż dalej prowadząc rozmowę na ten temat oświadczyły, że z nikim nie utrzymują stosunków towarzyskich, ani też nie próbują takowych nawiązać, że życie takie odosobnione doprowadza ich w Kościanie do choroby nerwowej.

Wnioski z rozmowy.

Uniknąć zainteresowania ich rodziną wśród dość szerokiego kręgu mieszkańców w Kościanie żadnym sposobem się nie uda, miasto małe, mieszkańcy zasiedziali, ludzie się znają. Moim zdaniem należało by ich jak najszybciej przenieść z tym, że do miasta dużego, gdzie ludzie nie znają się niejednokrotnie w jednym bloku nie mają potrzeby i czasu interesować się sąsiadami. W większym mieście jest możliwość podebrania im stosowniejszej pracy i o większym również uposażeniu. Można by ich umiejscowić w odległym o 120 km od Kościana Wrocławiu, gdzie ludność jest w zasadzie nowa i więcej płynna. W Kościanie nie mogą mieszkać z tego choćby tylko powodu, że samo ściągnięcie ich do Kościana, robiło jeszcze przed ich sprowadzeniem się pewien rozgłos, remontowano mieszkanie duże, ładne, przywieziono ich dwoma

samochodami, piękne meble, a później chodziły i szukały pracy bylejakiej byle pracować. Starsza S. przepracowała pierwsze kilka dni po długich staraniach o pracę w cukrowni jako robotnica fizyczna, młodsza pracowała jako sprzątaczką, to coś nie pasuje – szykują mieszkanie, dwa samochody mebli, kobiety inteligentne pracują jako robotnice, takiego wypadku w Kościanie nie było na pewno i nie będzie więcej, ludzie myślą i nie znajdują odpowiedzi, zatym zaczynają dopatrywać się wszystkiego. Poza tym dyrektor jednego i drugiego zakładu pracy, gdzie pracują obywatelki S. nie przyjął ich normalnie z braku ludzi do pracy, a tym bardziej przyjął powtórnie starszą S., którą zwolniono, gdyż jak większość wiedziała nie nadawała się w ogóle do tej pracy.

Nasuwa mi się teraz jeszcze taki wniosek, że obywatelki S. odizolowały się specjalnie od otoczenia w pracy jak również od sąsiadów, gdyż doszły do wniosku, że w takim mieście osoby ich nabiorą dla nas niepożądanego zainteresowania, a za tym postawią nas przed koniecznością przeniesienia ich do dużego miasta. Moim zdaniem nie zadają sobie trudu, aby odsunąć od siebie zainteresowania, a spostrzegły, że jest to dla nich korzystne i pogłębiają go. (-) Podpis nieczytelny. Dopisek: Raport przesłano do zastępcy przewodniczącego Komitetu do spraw Bezpieczeństwa Publicznego w Warszawie z dopiskiem: „Do rąk własnych tow. Sienkiewicza”.

### 3.

**Kościan, 5 czerwca 1956 r. Do Przewodniczącego Komitetu ds. Bezpieczeństwa Publicznego [w Warszawie] tow. Pszczółkowskiego.**

Dnia 29 V b.r. zgłosiłam się do Generalnego Prokuratora celem zaprotestowania przeciwko stosowanym metodom „wychowawczym” w stosunku do mnie i mojej rodziny. Po wysłuchaniu mojej relacji nieskoordynowanej Generalny Prokurator rzekł: „nie prowadziliśmy przeciwko wam żadnego dochodzenia. Najpewniej mi nie wiadomo, jaki jest wasz udział w tej sprawie. Zwróćcie się do władz administracyjnych”. Wobec powyższego zwracam się do Wasz Towarzysze Ministrze, (bowiem w Waszej to jest gestii) i zapytuję:

1. Czy okres (niepełnych) 3 lat był za krótki do ustalenia „mojego udziału” w tej sprawie? Wydaje mi się, że nie. I śmiem twierdzić na podstawie rzetelnej prawdy, którą i Wy znacie, że „mój udział” był żaden.





Justyna Światło z dziećmi.

Fot. (2x) Archiwum IPN Warszawa

2. Czy aby być przeciętnym obywatelem w naszym kraju uczciwie zarabiającym na skromne utrzymanie (którego nie mamy!) trzeba przejść tyle okrutnych prób lojalności? Wydaje mi się, że nie. Na pewno nie. I po stokroć nie!

3. Czy moralność i etyka komunistów nakazuje skazywanie dzieci na banicję, (normalnie rozwinięte i rozumiejące), na wyklęcie! Dzieci, które i tak są pokrzywdzone przez życie (I jak bardzo!), wciąganie ich w sieć tzw. „niezbędnych” kłamstw? Nie!

4. Czy humanizm i etyka komunistów nakazuje łamanie doszczętnie i tak złamanego życia – podcinanie rąk i nóg kobietom podejmującym (nie równą!) walkę o honor, godność ludzką i „czystą” przyszłość dzieci swoich. Nie! I jeszcze raz po stokroć nie! Źle. I bardzo źle, jeżeli tak się dzieje po tylu ciężkich i tragicznych doświadczeniach. Wydaje mi się, że w każdym przywoitym i uczciwym człowieku musi to budzić sprzeciw. I we mnie obudziło to bunt całego mojego jestestwa. Źle jest, kiedy tylko „wybrańcy” uzurpują sobie

prawa do wyciągania wniosków z nauk historii. Źle jest i niemoralnym jest, wystawianie ludzi (niewinnych!) na próby, które przerastają ich siły. Doświadczenie ostatnich dwóch lat nauczyło mnie, że łatwowierność i ślepa wiara „w słusność” podsuwanych założeń – okrutnie się obróciła przeciwko mnie! Przykro mi, ale bezmyślne okrucieństwo nie przynosi Wam sławy, ani chwały. Pracownikom działającym w Waszym imieniu również nie. Stało się zadość okrucieństwa (sprawiedliwości na pewno nie!) i dłużej nie wytrzymuję tych prób. Nie mogę dłużej znieść coraz głębiej żłobiących się urazów w psychice moich dzieci, mocniej zarysowującego się cynizmu, który je prowadzi na dróżki deprawacji, a jak „dobrze” pójdzie to zwyrodnienia. Nie mogę znieść tragicznej sytuacji mojej siostry, którą wyrzucono poza nawias życia, w której stan depresji wzmacnia się z dnia na dzień. Wreszcie ja sama jestem upośledzona i nie mam zdolności przystosowania się nawet do „złotej klatki”. Jedyne powrót do normalnego życia może tylko już częściowo naprawić

zło, które się stało. Sytuacja jest tragiczna i wymaga radykalnej zmiany. Bezwzględnie.

Jako „obywatel” X kategorii domagam się! 1. Przywrócenia nam pełnych praw obywatelskich (nie odbierając Wam praw do inwigilacji!): a) prawo do pracy według przydatności, b) normalny kontakt z rodziną – z bratem, z siostrami ojca dzieci oraz matką moją w Izraelu, c) własne konto w PKO. 2. Powrót do „domu” – do miasta, w którym urodziłyśmy się, wychowałyśmy, wyrosłyśmy (co prawda na niedużą miarę) i przeżyłyśmy całe życie.

Wybaczcie, jeżeli forma jest nieodpowiednia, ale nie umiem teraz inaczej. Może, kiedy będę znała „ogrom” swojego przewinienia, „winy” swoich dzieci i siostry mojej, będę pisała inaczej, będę prosiła o miłosierdzie. Teraz nie mogę. Krzywda, jakiej doznają rodzi tylko bunt i domaga się sprawiedliwości. Z pozdrowieniami. (-) Justyna Światło. Na liście dopisek Tow. Nowakowski zwrot do akt 7 XII 56 r. (-) Podpis nieczytelny. (cdn)

Wybrał JERZY ZIELONKA

# Charakterystyka Swarzędzkich Fabryk Mebli w dokumentach SB (1)

Swarzędzkie Fabryki Mebli (SFM) był to jeden z największych zakładów produkcyjnych, w branży stolarskiej funkcjonujący, jeszcze w latach dziewięćdziesiątych XX wieku w Poznaniu. Nie był to przypadek, ponieważ Swarzędz był znany z tradycji stolarskich już w pierwszych dziesięcioleciach XX wieku. Rzemiosło meblarskie świetnie prosperowało w okresie II Rzeczypospolitej. Poradziło sobie nawet w okresie wielkiego kryzysu gospodarczego lat 1929-1935 m.in. dzięki współpracy stolarzy w ramach wspólnego cechu, czego szczególnym przykładem była budowa pawilonu wystawienniczego, służącego swarzędzkim stolarzom do dziś. Po II wojnie światowej władze Polski Ludowej postanowiły zrównoważyć te „prywaciarские” tradycje i utworzyły państwową fabrykę produkującą meble, nota bene na bazie upaństwowionych prywatnych przedsiębiorstw stolarskich: fabryki krzesel Antoniego Tabaki oraz tartaku Franciszka Zawidzkiego. Takie były początki socjalistycznego koncernu, który w ciągu kolejnych dziesięcioleci rozrastał się o kolejne przedsiębiorstwa. W pierwszych miesiącach 1970 r. dokonano reorganizacji SFM tworząc przedsiębiorstwo złożone z sześciu zakładów produkcyjnych zlokalizowanych: w Swarzędzu (dwa zakłady), Kostrzynie, Poznaniu, Mosinie i Kościanie. Tuż przed przekształceniem w spółkę akcyjną, w 1990 r. SFM składały się z ośmiu zakładów<sup>1</sup>.

Swarzędzkie Fabryki Mebli jako jeden ze znacznie większych zakładów przemysłowych w ówczesnym województwie poznańskim znalazł się pod „czujnym okiem” Służby Bezpieczeństwa (SB). Prezentowana poniżej „Charakterystyka operacyjna obiektu – Swarzędzkie Fabryki Mebli” jest dokumentem znajdującym się w teczce Sprawy Obiektowej<sup>2</sup> kryptonim „Kosmos”, którą w latach 1972-1976 prowadziła SB w celu „ochrony operacyjnej” SFM<sup>3</sup>. Celem założenia sprawy, według wniosku o jej wszczęcie było:



Arkadiusz Małyszka

„- ujawnianie i zapobieganie zamiarom prowadzenia wrogiej i szkodliwej działalności;

- ujawnianie i wyjaśnianie faktów sabotażu, awarii i nieprawidłowości zaistniałych w obiekcie;

- rozpoznawanie sytuacji wśród załogi oraz zapobieganie sytuacjom konfliktowym i ewentualnym zamiarom przerw w pracy”.

Mimo „założenia sprawy” 28 IV 1972 r., w aktach zachowały się dokumenty starsze, także z lat wcześniejszych, z których wynika m.in., że mimo zastraszenia i obojętności, marazmu i zwątpienia, robotnicy potrafili upomnieć się „o swoje” już w latach sześćdziesiątych. 4 stycznia 1962 r. miała miejsce kilkugodzinna „przerwa w pracy”<sup>4</sup>, na Wydziale Obróbki Zasadniczej SFM, której powodem było obniżenie zarobków. W meldunku SB z 8 I 1962 r. wymieniono imienia trzech pracowników. Podano, że podczas sporu „dość aktywnie i w sposób wulgarny wystąpili” pracownicy: Józef Harackiewicz (napisano o nim, że już w VI 1956 r. „przejawiał dużą aktywność zmuszając pracowników do przerywania pracy przy pomocy kija”), Zygmunt Górka (który miał

głośno wykrzykiwać, że „kiedyś nas okłamywali i robią to i teraz”) oraz Zygmunt Roszkowski. Również na tym samym Wydziale został zorganizowany strajk w maju 1966 r. W obronie swoich zarobków 5 maja w godz. 17-19.00 zastrajkowało 100 robotników, a 6 maja od godz. 6 do 7.00 rano przerwało pracę 30 osób z Zakładu nr 1 w Swarzędzu. Powodem niezadowolenie robotników było zmniejszenie ich zarobków w granicach od 70 do 300 złotych za miesiąc kwiecień, co było związane z przejściem zakładu na bardziej pracochłonny cykl produkcji eksportowej i w związku z tym niepełne wyrobienie normy. Dzięki strajkowi robotnicy wywalczyli wyrównanie różnic zarobków, na co zgodziło się Zjednoczenie Przemysłu Meblarskiego w Poznaniu<sup>5</sup>. Również i tym razem odnotowano nazwiska czterech pracowników: Bolesława Kozyka, Kazimierza Brodziszowskiego, Edmunda Kuczyńskiego i Tadeusza Juszcza, którzy odważyli się publicznie zabierać głos w swojej sprawie. Według meldunku SB w sposób fałszywy i napastliwy usiłowali „negować dorobek i osiągnięcia załogi na przestrzeni ostatnich lat wypowiadając się, że są stale gnębieni, że fabryka w której pracują niczym nie różni się od obozu pracy, że pod względem zarobku są stale oszukiwani itp.”. Kierownictwo SFM wyciągnęło konsekwencje wobec najbardziej aktywnych podczas strajku, jedną osobę zwolniono z pracy. W aktach nie podano nazwiska osoby wyrzuconej z zakładu. Natomiast zachowała się ocena sytuacji napisana przez naczelnika Wydziału III KWMO w Poznaniu ppłk. Władysława Nowickiego. W swym meldunku do MSW z 9 maja 1966 r. napisał wprost, że kierownictwo zakładu: „w sposób nieudolny potraktowało sam fakt przejścia z jednego cyklu produkcji na drugi, który jest bardziej pracochłonny i znając faktycznie wyrobienie norm nie doszukiwało się przyczyn a bezkrytycznie obliczyło zarobki za miesiąc

kwiecień nie informując załogi. [...] Poza tym nie zareagowało w sposób właściwy na głosy niezadowolenia, które miały miejsce już na zmianie pierwszej dnia 5 bm.”.

Akta sprawy zawierają również dokument obrazujący, na jednym konkretnym przykładzie, jak politykę władz komunistycznych oceniali zwykli obywatele. To, że pismo znalazło się w aktach sprawy dotyczącej Swarzędzkich Fabryk Mebli związane było z miejscem pracy autora – Władysław Dłuziński pracownika zakładu nr 4 w Poznaniu. Otóż w październiku 1973 r. ten sześćdziesięcioletni wówczas mężczyzna, który w swym życiu „z niejednego pieca chleb jadł” napisał, nie anonimowo, ale pod swoim nazwiskiem list adresowany do popularnego wtedy telewizyjnego programu informacyjnego „Monitor Polski”. Prawdopodobnie z racji adresata i braku nadawcy na kopercie list został sprawdzony przez komórkę „W” Służby Bezpieczeństwa, zajmującą się perlustracją, czyli kontrolą korespondencji. W swoim „manifestie” autor skrytykował komunistyczną politykę, dążącą do ateizacji i demoralizowania społeczeństwa, która dokonywała się przez podważanie autorytetu Kościoła, przeciwstawianiu sobie dzieci i rodziców czy wmawianiu, szczególnie młodym ludziom, że Boga nie ma. Jego zdaniem taka polityka skutkowała nie tylko szerzeniem się bezbożnictwa, ale także rozwydrzenia obyczajów, „seksualizmu”, nieuczciwości czy wzrostem przestępczości. W swoim liście pracownik SFM przeciwstawił polityce komunistycznego państwa zasługi Kościoła w tysiącletniej historii Polski oraz wspieranie wielomilionowej Polonii. Swój trzystronicowy tekst zakończył pytaniami m.in.: „Czy komunizm ze swoją planowaną bezbożnością nie zaprzęda naszej Ojczyzny? [...] Czy wypadki w Chile nie dają dużo do myślenia naszym politykom?”. W ostatnim akapicie autor wyjaśnił motywy swego „pisanie”: „Te kilka myśli rzuconych naszym politykom pragnę otrząsnąć ich z letargu i kieruję się jedynie dobrem naszego kraju [tak w oryginale]”. Autor podpisał się „syn powstańca wielkopolskiego i wnuk powstańca

z 1863 r.”. Z dokumentów nie wynika, aby pan Dłuziński miał większe problemy z SB. Prawdopodobnie dlatego, że treść listu nie dotarła do adresata i nie została upowszechniona, skończyło się prawdopodobnie na postraszeniu i rozmowie ostrzegawczej.

Teczka sprawy obiektowej krypt. „Kosmos” zawiera również wiele dokumentów pokazujących jakie były największe problemy zakładów przemysłowych realnego socjalizmu. Cały czas trwała w nich „walka” o wykonanie planu produkcji miesięcznej czy rocznej. Szczególnie dramatycznie ta „walka” przebiegała, gdy dotyczyła produkcji na eksport ten zachodni, bo przynosił tak cenne dewizy, ale i ten wschodni, bo był obowiązkowy. W wielu wypadkach wykonanie planu nie zależało od pracowników SFM, tylko od kooperantów, którzy zaopatrywali zakłady w surowce i materiały potrzebne do produkcji. Funkcjonariusze SB niczym urzędnicy od spraw zaopatrzeniowych notowali, w omawianej sprawie obiektowej, o brakach w dostawach okuć i wkrętów, lakierów czy płyt stolarskich. Przy okazji zauważali, że walka o plan, powoduje nieracjonalne wykorzystanie czasu pracy pracowników, kiedy bowiem były materiały i komponenty to praca trwała „na okrągło”, także w nadgodzinach, a później - gdy brakowało środków - były dni przestoju i pozorowania pracy. Opiekunowie z SB informowali również zwierzchników o nieprzestrzeganiu parametrów i reżimów technologicznych czy nieprawidłowym magazynowaniu wyrobów. Brak bowiem dbałości o właściwą technologię czy magazynowanie powodowało, że wyroby były niepełnowartościowe, co z kolei było przyczyną reklamacji, szczególnie przez odbiorców z zagranicy. „Obserwatorzy” z SB też zwracali baczność uwagę na nadużywanie zwolnień lekarskich przez pracowników SFM oraz problemy z dyscypliną pracy. Ustalili m.in. dzięki informacji, tajnego współpracownika, że brama do wyładunku mebli była prawie cały czas otwarta, co wykorzystywali pracownicy drugiej zmiany, często wychodząc tą bramą, do bufetu na stacji kolejowej, na piwo.

Funkcjonariusze SB czasem dzielili się swoimi spostrzeżeniami na powyższe tematy bezpośrednio z kierownictwem zakładu. Nawet jeśli, przy pomocy dyirekcji czy informatów z wewnątrz przedsiębiorstwa, udało się poprawić jakąś nieprawidłowość to było to tylko działanie doraźne, bowiem większość zauważanych przez nich „dolegliwości” miała naturę systemową, charakterystyczną dla gospodarki socjalistycznej.

Sprawę obiektową o kryptonimie „Kosmos” zamknięto w pierwszym kwartale 1976 r. w związku ze zmianami organizacyjnymi wewnątrz Służby Bezpieczeństwa<sup>7</sup>. We wniosku o zakończenie sprawy kapitan Mieczysław Chęciński<sup>8</sup>, naczelnik Wydziału IIIA<sup>9</sup> Komendy Wojewódzkiej Milicji Obywatelskiej, napisał m.in., że „nie zanotowano w okresie prowadzenia sprawy poważniejszych sytuacji konfliktowej. Nie miały miejsca fakty celowego niszczenia maszyn i urządzeń, czy też kolportażu wrogich hasel i ulotek”.

Zapoznanie z dokumentem pozwala zorientować się, jakie zadania miała policja polityczna w zakładzie pracy w czasach Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej. Prezentowana charakterystyka obejmuje szereg zagadnień, które wówczas, znajdowały się w obszarze zainteresowań SB. Współcześnie uznalibyśmy, iż są to sprawy należące do nadzoru właścicielskiego przedsiębiorstwa, policji i prokuratury, straży pożarnej oraz innych państwowych służb kontrolnych, np. Państwowej Inspekcji Pracy.

W analizie SB wymienione są trzy „poważniejsze awarie”, które zdarzyły się w omawianym okresie. Jedną z nich miała tragiczne konsekwencje. 27 września 1971 r. w zakładzie nr 4 w Poznaniu, przy ul. Jeleniogórskiej, nastąpił wybuch w kotłowni. Była to chyba największa katastrofa w historii kombinatu SFM. Jej skutkiem była śmierć dwóch pracowników, rany i obrażenia dwudziestu sześciu innych oraz spore straty materialne. Wypadku tego nie dało się ukryć, jak to często w czasach PRL bywało. Tragiczny wybuch był szeroko omawiany na łamach poznańskiej prasy<sup>10</sup>. Podkreślano solidarność nie tylko pracowników poszczególnych zakładów SFM, ale i

innych przedsiębiorstw i instytucji Poznania i okolic. Pomoc ta polegała m.in. na dodatkowym oddawaniu krwi potrzebnej dla poszkodowanych w wypadku. W wyniku bardzo szybkiego działania różnych przedsiębiorstw oraz nawet nocnej pracy wielu pracowników odbudowano w ekspresowym terminie kotłownię. Już 1 października 1971 r. zaczęła ogrzewać pomieszczenia zakładowe przy ul. Jeleniogórskiej.

Prezentowana charakterystyka jest też interesującym dokumentem czasu pokazującym jak wówczas, w pierwszej połowie lat siedemdziesiątych, zorganizowane było przedsiębiorstwo wielozakładowe, jakim było SFM. Pokazuje firmę w jednym z najważniejszych punktów jej rozwoju, w fazie jej wzrostu. Z drugiej strony mówi o zamkniętym już rozdziale, ponieważ od lat nie istnieje wielozakładowe przedsiębiorstwo pod nazwą Swarzędzkie Fabryki Mebli.

W Swarzędzu nie ma już ani Zakładu nr 1, ani Zakładu nr 2. Na terenie, gdzie funkcjonował Z-2, pozostały ruiny dawnych zabudowań przemysłowych. Teren zaś, który ma dzisiaj wielu właścicieli posiada plan miejscowy i przewidziano tam przede wszystkim usługi oraz budynki mieszkaniowe. Na pustym placu po wyburzeniu budynków fabrycznych Z-1, powstał market budowlany sieci „Castorama” o łącznej powierzchni ponad 6 tys. m<sup>2</sup>. W zakładzie w Mosinie także nie ma już stolarstwa. W jednym z najnowocześniejszych kiedyś oddziałów SFM, w których prowadzono produkcję m.in. dla tak dzisiaj znanej firmy IKEA; budynki wynajmowane są częściowo na magazyny lub pod inną działalność gospodarczą. Część terenu (po byłym Zakładzie nr 5) stanowi własność gminy, został przejęty za niezapłacone podatki. W Kostrzynie w miejsce wyburzonych zabudowań Zakładu nr 3 powstaje Osiedle Rycerza Kostro składające się z szeregu wielorodzinnych budynków. W Poznaniu przy ul. Jeleniogórskiej na miejscu gdzie były budynki fabryczne Zakładu nr 4, zbudowano już osiedle mieszkaniowe, a znajdujący się przy ulicy biurowiec służy różnym firmom. W Kościanie pomieszczenia fabryczne po Zakładzie nr 6 stały cały czas puste, dopiero pod

koniec 2011 r. udało się syndykowi sprzedać pozostałości. W Rawiczu budynki byłego Zakładu nr 7 stoją dzisiaj puste, stara się je podobno odzyskać spadkobierca przedwojenne-go właściciela. W Gostyniu zabudowania fabryczne nie są użytkowane, od kilku lat mają paru właścicieli co utrudnia odsprzedaż ich jakiemuś jednemu kontrahentowi. Część załogi dawnego Zakładu nr 8 znalazło pracę w Jarocińskiej Fabryce Mebli. Najlepiej sytuacja wygląda w Bojanowie, w budynkach byłego oddziału SFM prowadzona jest działalność gospodarcza. Kilkanaście lat temu nieruchomości nabył od SFM nowy właściciel, który uruchomił tam produkcję stelaży do mebli<sup>11</sup>.(cdn)

#### ARKADIUSZ MAŁYSZKA

(Endnotes)

<sup>1</sup> W 1976 SFM rozszerzyły się o fabrykę w Rawiczu i jej oddział w Bojanowie, a w 1980 r. o zakład w Gostyniu. Szerzej o dziejach SFM patrz: R. Karolczak, „Swarzędzkie Fabryki mebli. Drogi i przemiany rozwoju”, „Zeszyty Swarzędzkie” nr 1, Swarzędz 2009, s. 46-83.

<sup>2</sup> Sprawa Obiektowa [SO] - sprawa operacyjna zakładana w celu „ochrony operacyjnej” instytucji, organizacji lub środowisk.

<sup>3</sup> Archiwum Instytutu Pamięci Narodowej Oddział w Poznaniu dalej AIPN Po 003/583.

<sup>4</sup> Takim eufemizmem posługiwano się w PRL, aby nie używać tradycyjnego pojęcia strajk.

<sup>5</sup> AIPN Po 06/71/100, k. 291, Telefonogramy nr 1401 do Dep. III, z 6 V 1966 r. Zob. też A. Małyszka, „Ocena bezpieczeństwa w powiecie poznańskim na przełomie lat sześćdziesiątych i siedemdziesiątych XX wieku w dokumentach SB”, „Kronika Wielkopolski” 2011, nr 3 (139), s. 52-69.

<sup>6</sup> Autor nawiązywał do aktualnego wówczas wydarzenia, zamachu stanu w Chile. 11 IX 1973 Generał Augusto Pinochet obalił rząd prezydenta Salvadora Allende.

<sup>7</sup> W połowie 1975 r. nastąpiła reforma administracyjna, w wyniku której zlikwidowano powiaty i 17 dotychczasowych, dużych województw, a w ich miejsce utworzono 49 nowych, mniejszych

województw.

<sup>8</sup> Mieczysław Chęciński (ur. 30.06.1941) – funkcjonariusz organów bezpieczeństwa państwa (SB) w latach 1964-1990. W czasie swojej kariery zawodowej związany z Wrześnią (m.in. w latach 1973-1975, I zastępca komendanta powiatowego MO ds. służby bezpieczeństwa) oraz z wojewódzkimi strukturami organów bezpieczeństwa w Poznaniu (m.in. naczelnik Wydz. IIIA w latach VI 1975-XI 1981, zastępca szefa WUSW ds. SB XII 1983-IX 1986), Warszawie (zastępca szefa WUSW ds. SB IX 1986-I 1988) oraz w Zielonej Górze (szef WUSW I 1988-VI 1990). Zakończył służbę 31.07.1990 r. w stopniu pułkownika. Więcej informacji na stronie: [www.katalog.bip.ipn.gov.pl/w\\_zakladce/Funkcjonariusze\\_organow\\_bezpieczenstwa\\_PRL](http://www.katalog.bip.ipn.gov.pl/w_zakladce/Funkcjonariusze_organow_bezpieczenstwa_PRL) (dostęp 15.04.2011 r.).

<sup>9</sup> Wydział IIIA utworzono w województwie poznańskim 1 VI 1975 r. Został on wyodrębniony z dotychczasowego Wydziału III, a jego zadaniem było najogólniej zabezpieczenie operacyjne gospodarki. Szerzej m.in. P. Piotrowski, „Struktury służby bezpieczeństwa MSW 1975-1990”, „Pamięć i Sprawiedliwość” 2003, nr 1(3), s. 51-107.

<sup>10</sup> Patrz. m.in.; K. Feliczak, „Tragiczny wybuch w kotłowni przy ul. Jeleniogórskiej”, „Gazeta Poznańska” 28. IX 1971; tegoż, „Zakłady pracy pomagają w usuwaniu skutków wypadku”, „Gazeta Poznańska” 29. IX 1971; tegoż, „Dalsza wszechstronna pomoc dla ofiar wypadku”, „Gazeta Poznańska” 30. IX 1971; (K.F.), „Dalsza poprawa stanu zdrowia poparzonych”, „Gazeta Poznańska”, 1 X 1971; (Żuk), „Uruchomiono już kotłownię”, „Gazeta Poznańska”, 2-3 X 1971.

<sup>11</sup> Na podstawie informacji od byłych pracowników SFM lub urzędników urzędów gminnych Bojanowa, Gostynia, Kościana, Kostrzynie i Rawicza.

**\* Mgr Arkadiusz Małyszka jest historykiem, pracownikiem naukowym poznańskiego oddziału Instytutu Pamięci Narodowej. Na łamach „Wiadomości Kościańskich” debiutuje.**

## Pięćdziesiąt lat minęło Miasto Kościan w 1964 roku.



Rynek, część północno-zachodnia (fot. E. Linette).

Plenerowa wystawa zdjęć prezentujących Kościan sprzed pięćdziesięciu lat została uruchomiona przed Ratuszem 10 lipca br. Pomysł na ukazanie Kościana sprzed pół wieku pojawił się w momencie dotarcia kościańskich muzealników do zdjęć wykonanych w maju i grudniu 1964 roku przez Eugeniusza Linette. Fotografie te zostały wykorzystane w opracowywanym wówczas studium urbanistyczno-historycznym dla miasta Kościana. Te zdjęcia łącznie ze zbiorami zgromadzonymi w kościańskiej placówce umożliwiły powstanie wystawy obrazującej tkankę miejską dokładnie pięćdziesiąt lat temu.

Zwiedzający, na blisko 30 wielkoformatowych fotografiach mieli możliwość przyjrzenia się nieistniejącym już dziś w większości budynkom na ulicy Szewskiej, czy architekturze przebudowanego na miejską bibliotekę kościoła ewangelickiego. Uważny widz dostrzeże nie tylko wszechobecny na ówczesnych ulicach bruk, ale

ówczesne kawiarnie i restauracje, kioski i zieleniaki, dawną strzelnicę oraz inne obiekty infrastruktury Kościana.

A jaki był Kościan w 1964 roku?

W tamtym roku w Kościanie na świat przyszło 1114 dzieci, zarejestrowano 309 zgonów i 157 małżeństw. Kościan liczył 16 621 mieszkańców, zamieszkujących 1200 domów.

Poważny problem stanowiła zbyt mała liczba mieszkań, wobec czego 70 kościańskich rodzin mieszkało w szopach i budynkach gospodarczych. Ten niewygodny dla władz fakt stanowił tajemnicę państwową.

W styczniu Kościańską Wytwórnę Cygar i Papierosów podporządkowano wytwórni w Poznaniu. W maju przez Kościan przebiegała trasa kolarskiego Wyścigu Pokoju, natomiast miesiąc wcześniej dla młodzieży zorganizowano I Mały Harcerski Kolarski Wyścig Pokoju.

Na sklepowych półkach brakowało wówczas m.in.: mięsa, wędlin, masła, serów, ryb, wyrobów czekoladowych, kawy, kakao, przypraw, owoców

cytrusowych, baterii, żarówek, naczyń, obuwia, odzieży i maszynek do golenia. Z powodu starej, awaryjnej sieci wodociągowej i niewydolnych ujęć mieszkańcom doskwierał deficyt wody, szczególnie w miesiącach letnich.

Z początkiem roku z powodu nierentowności zamknięto restaurację w parku miejskim. Na terenie miasta działały jeszcze restauracje „Polonia”, „Dworcowa” i „Ratuszowa”. W tej ostatniej, w drugiej połowie roku odbywał się kurs szkoleniowy dla wielkopolskich kucharzy. Łącznie wszystkie kościańskie restauracje posiadały 402 miejsca i wydawały dziennie około 700 obiadów. W lipcu w Powiatowym Domu Kultury otwarto bezalkoholową kawiarnię.

Po mieście kursowało 18 taksówek, których postój znajdował się przy dworcu PKP i na rynku.

**Muzeum Regionalne  
im. dra med.  
Henryka Florkowskiego  
w Kościanie**



Widok na ratusz z ul. Obrońców Stalingradu – dzisiejszej ul. Wrocławskiej (fot. E. Linette).



*Widok miasta z ul. Świerczewskiego – dzisiejsza ul. Marszałka J. Piłsudskiego (fot. E. Linette).*



*Dawny kościół ewangelicki – dzisiejszy budynek Miejskiej Biblioteki Publicznej w Kościanie (fot. Eugeniusz Linette).*



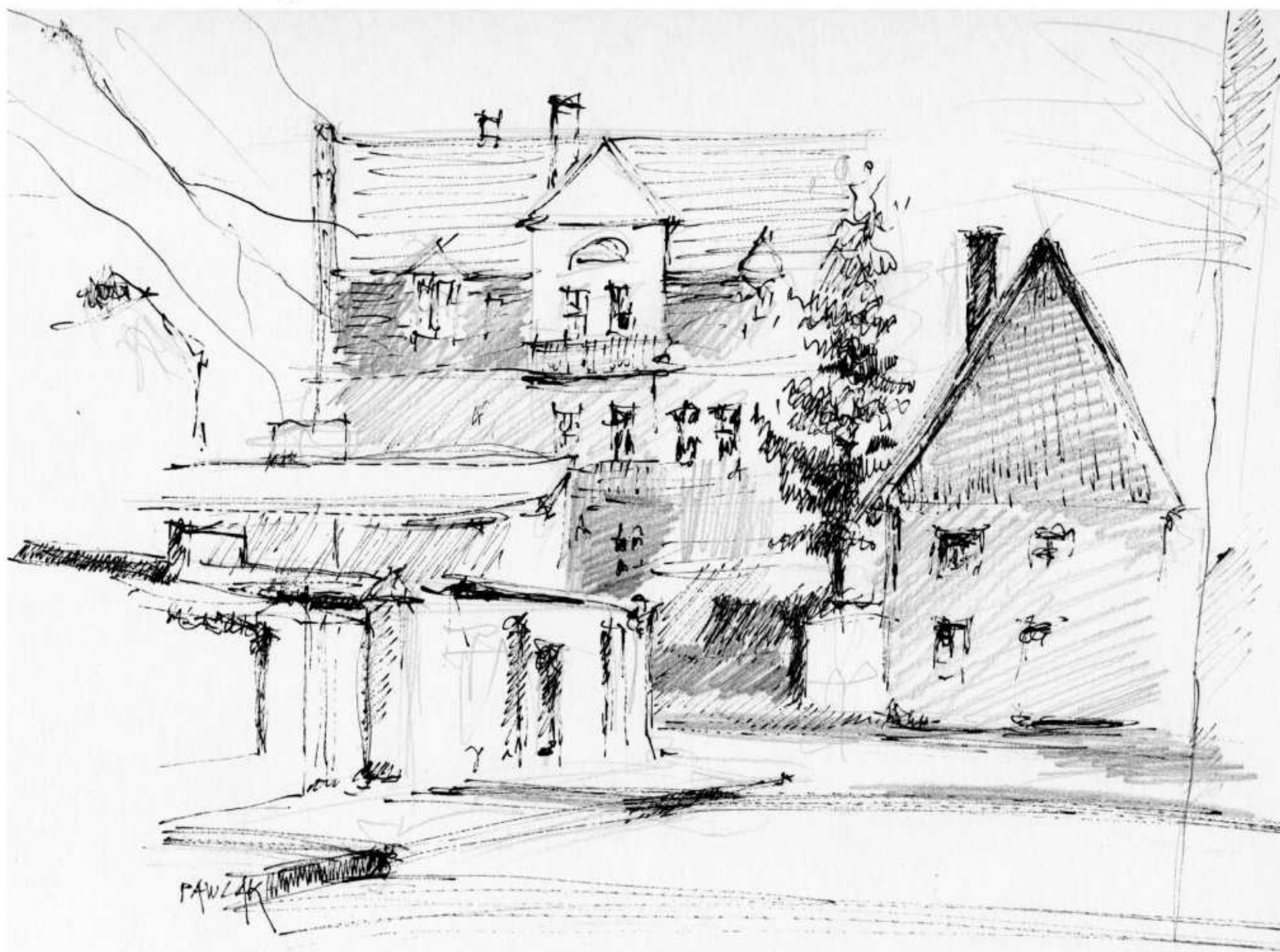
*Ul. Szewska, widok na południe, w tle wieże kościoła ewangelickiego (zbiory MRK).*



*Ul. Obrońców Stalingradu – dzisiejsza ul. Wrocławska. Na pierwszym planie słynna „Polonia” (fot. E. Linette).*



## Grafiki Grzegorza Pawlaka



Prezentowane prace oraz inne są do nabycia.  
Informacja: tel. 604 56 18 98